

ZESZYT CZWARTY.

ROCZNIK V. — 1872.

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY.)

Gdy się Jankiem tak bardzo opiekowano, on nieboraczysko wcale o tem nie wiedział, na jednę tylko opiekę starej Hruzdzinej, którą kochał jak matkę i pewien jej był jak rodzonej, rachując. Zresztą było mu u kanonika bardzo dobrze, o ile w położeniu podobnem być mogło. Maciejowa żadnego w życiu paupra z tych, którzy przez jej ręce przechodzili, tak stanowczo nie protegowała. Zwykle, gdy kanonik lubił którego, ona stawała w opozycyi lękając się, by go nie popsuł, przeciwnie, gdy do smaku mu nie przypadał, ona broniła. Są w sercach i humorach ludzkich tajemnice, a przekomarzanie się czasem stanowi duszną potrzebę. Maciejowa ze ścianą by się niekiedy kłóciła, gdy nie było z kim. Na ten raz wszakże co do Janka godziła się z profesorem, iż chłopiec był wielkiej nadziei. Tylko żebyś go Jegomość nie popsuł... mruczała pod nosem zaspokajając sumienie. Chłopak umiał się akomodować i kanonikowi i gospodyni, co dotąd z żadnym się jeszcze nie trafiło.

Z ks. profesorem nie było to trudnem, bo lepszego serca nie znalazłbyś pod słońcem; Maciejowa w gruncie równie poczciwe kobiecisko miała temperament zgryźliwszy, trzeba się jej było czasem dać wygadać, wygdérać i nie rozżarzać drażliwości, co Janek bardzo dobrze umiał. Wspomnieliśmy wyżej, iż ks. Hodowski jednę tylko miał siostrę, która była wcześnie za mąż wyszła za rządcę majętności pańskiej w Krakowskiem. Rzadko się ona wszakże dowiadywała do brata, wiedząc, że był ubogi, że kamieniczka jego niewiele była warta, a kapitału nie uzbierał żadnego, bo zwykle co miał, lokował na pauprach i ubogich krakowskich. Wszakże raz w rok na dzień urodzin ks. Hodowskiego przyjeżdżała regularnie siostra z mężem albo sama. Dzieci biedna nie miała. Działo się im dosyć dobrze, chociaż mąż nie był wcale miłym człowiekiem, a kanonik, instynktowy znawca ludzi, od pierwszego poznania szwagra wstręt do niego powziął szczególny, i chociaż to sobie wyrzucał, pozbyć się go nie mógł. Nieprzyjaciel wszelkich przesądów, profesor dlatego najbardziej miał na na sumieniu ową odrazę do szwagra, iż ten był kuternoga... a kanonikowi zdawało się, iż ulegał powszechnemu i niesłusznemu uprzedzeniu przeciwko nieszczęśliwym kulawym i kalekom... Za każdym razem spotykając się ze szwagrem ks. profesor starał się przemódz niechęć i wstręt, jaki czuł ku niemu, a przekonywał się po odjeździe, że się one jeszcze powiększyły. Siostra nigdy nie skarżyła się na męża, znać jednak było z ich obejścia z sobą, iż niezbyt się czule kochali.

Dzień urodzin ks. kanonika przypadał we wrześniu, jakoś w parę tygodni po instellacyi Janka na górze i zaciągnięciu go pod komendę pani Maciejowej. Oprócz rodziny, to jest siostry i szwagra, żywa dusza w mieście nie

wiedziała o tej uroczystości, nikt nie przychodził winszować, i na obiedzie, z którym Maciejowa występowała, bywały tylko trzy osoby. W porównaniu wszakże do codziennego pokarmu kanonika, który był wcale nie wykwintny i głód tylko zaspokajał, obiad ten stanowił ucztę i na kilka dni najnieszczęśliwszą z istot na ziemi czynił panią Maciejową.

W wigilią wigilii zaczynała się gryźć i przemyślać.

Co ja im dam... przeszłego roku była gęś, trudnoż znowu to samo, powiedzą, że u księdza gotować nie umiem... wezmą na języki... a to to na wsi rozpieszczone we wszelkich zbytkach... bo ich tam ani kura ani jendyk nic nie kosztuje... W przeddzień obiadu Maciejowa, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwykle przychodziła kanonikowi przeszkodzić w pracy i wziąć od niego dyspozycyą... Wywołała go i tym razem z pokoju.

— Moja dobrodziejko... zawołał znękany przerwą w czytaniu Hodowski — na rany Chrystusowe, czego ty chcesz odemnie!

— Ależ przecie zobacz jegomość w kalendarzu, jutro urodziny, przyjadą ze wsi, trzeba dać jeść, niech kanonik zadysponuje...

— Co ja ci mam zadysponować! co! — zawołał Hodowski — czym ja kucharz? czy ja smakosz? czy mnie to nie wszystko jedno?...

— Tak, a potem powiedzą Maciejowa winna...

— Któż ci kiedy co powiedział?

— Już ja nie chcę dać złym językom powodu do oszczerstw... nie chcę. Dysponuj jegomość.

— Ale rób co ci się podoba...

— Dysponuj jegomość... już od tego nie odstąpię...

Kanonik lubił kaszę na mleku... pierzwszą więc myślą jego była ta potrawa. Maciejowa zaprotestowała, narada trwała kwandrans, kanonik się upocił, stanęło na barszczu i pieczeni z rożna, oraz leguminie z winnym sosem; kucharka chciała dodać coś jeszcze, ale się ksiądz ofuknął. — Co ty tu uczty Baltazarowe i Lukullusowe chcesz wyprawiać!..

Tem jej usta zamknął, gdyż oba te imiona przypominały mocy piekielne i brzmiały Belzebubem; skończyło się więc na barszczu, pieczeni i leguminie z winnym sosem... Obrachowano jadło na trzy osoby.. Zwykle siostra i szwagier przybywali około dziesiątej, kanonik na nich ze mszą czekał, odprawiał ją dla nich, a po powrocie około południa obiad podawano; tego jednak dnia w godzinie zwykłej zamiast obojga przybyła tylko sama siostra, pani Brzeska...

— Daruje ksiądz brat, że mój mąż nie przyjechał — rzekła po przywitaniu — ma tam jakieś kłopoty i lata jak oparzony; jegomość się nim do wszystkiego wysługuje... a on też mu aż zanadto służy...

To mówiąc spuściła oczy i łzę otarła; kanonik zmiarkował, że tam w domu nie najlepiej iść musiało, ale nie mogąc na to radzić, nie chciał więcej pytać.

— Moja Tekluniu — rzekł wzdychając — odprawimy dzisiejszą mszę świętą na intencyą waszę... pan Bóg miłościwy, może się tam poprawi.

Poszli wedle zwyczaju na mszę, a po niej Hodowski zaraz z siostrą powrócił na kawę do domu. Maciejowa na ten dzień Janka sobie skonfiskowała, przyodziała czysto i zapowiedziała mu, że posłużyć musi, bo ona razem w kuchni i koło stołu być nie może. Janek był posłusznym... On więc przyniósł kawę zdumionemu kanonikowi, który nie bardzo lubił, gdy chłopca używano za posługacza, ale nie powiedział nic. Był to dzień wyjątkowy, Janek skorzystał ze zręczności i pocałował w rękę nauczyciela i dobrodzieja.

— Niech ksiądz kanonik pozwoli mi sobie złożyć życzenia, aby Bóg jak najdłużej w dobrem zdrowiu i szczęśliwości dla nas biedaków i zbudowania ludziom utrzymywać go raczył — odezwał się Janek. Powinszowania wierszami nie nauczyłem się, bom go nie miał, sam nie napiszę, a nikt też mi nie chciał pomódz. Ze szczérego więc serca ślę westchnienie do Boga...

Chłopiec do kolan się zniżył i pocałował w ręce staruszka, który z czułością za głowę go ścisnął.

— Najlepsze to życzenie, co niewyuczone z serca płynie — rzekł — Bóg ci zapłać.

— A to już znowu inny pauper? — odezwała się po wyjściu Janka siostra do brata...

— Jeszczem takiego zucha nie miał — rzekł cicho kanonik mrugając ku drzwiom — boję się go chwalić, aby nie popsuć, ale chłopak wielkich, wielkich nadziei. Zrobię z niego uczonego... jeśli nie wyjdzie na łajdaka... bo z takich zdolnych to... albo król albo kapucyn... ba gorzej, jeniusz albo wisielec...

— Zkądże się to jegomości trafiło takie cudo? — zapytała siostra...

— Sam pan Bóg mi je zesłał... szepnął ks. Hodowski... a teraz tylko mam nieustanną trwogę, żeby mi go los nienawistny nie odebrał...

— Mój Boże — westchnęła pani Brzeska — brat jesteś szczęśliwszy, bo choć przybraną rodzinę, Bożą czeladkę, ubogich sobie przysposobić możesz.. a ja... nie mam dzieci... w domu pustki... Zapłakała nieboga.

— Moja siostruniu dobrodziejko — odezwał się Hodowski — coś ty mi dziś nie wesoła... Podziel że się jak należy z bratem biedą twoją, może ci to ulgę przyniesie... Co ci tam dolega...

— A! trudno to się z tego spowiadać, bracie kochany— mówiła kobieta — bo by trzeba los obwiniać albo tych, w czyich rękach losy nasze... a to się nie godzi...

— Czyń tam, jak ci sumienie podyktuje — odpowiedział kanonik — lecz powinnabyś mi raz przecie szczerze wyznać, jak ci na świecie jest... możebyśmy co uradzili.

— Co tu radzić, panie bracie — szepnęła ze łzami Brzeska... śmierć chyba jedynym ratunkiem. Boleśnie to wyznać, ale straszne życie moje. Młodą byłam, gdym wyszła za Brzeskiego, nie znałam ludzi, uboga nie miałam wyboru, trzebaż było chaty nad głowę i domu. Wprędce po ślubie poznałam wszakże, jak nieroztropny wybór uczyniłam. Na niczem mi prawda nie zbywało w domu, oprócz szczęścia. Człowiek był i jest ponury, dziki, chciwy grosza i dla niego na wszystko gotów... Dostaliśmy służbę u bogatej wdowy po Wojewodzie... mającej jedno dziecię, ledwie w drugim roku będące, bo ojciec je odumarł zaraz po urodzeniu. Zrazu dobrze nam było... ale Jejmość kłopotom i procesom podołać nie mogła, młodo owdowiała, napłynęło więc konkurentów, za mąż iść musiała. Wdarł się tam o jej rękę dobijając istny szatan w ludzkiem ciele... Podskarbic koronny... sławny z tego, że młodość po zagranicznych dworach i obozach przebujał i majątek znaczny stracił, tak że mu z niego tyle pozostało, co w powozach i koniach i wystawnym dworze... i pono pałac w Warszawie. Familia Wojewodzinej bardzo była przeciwna jemu, wdowa też się go lękała... przecież jak zaczął chodzić, zabiegać, najeżdżać, protektorów zwozić, królewskiemi się listy zastawiać, na swojem prawie gwałtem postawił, poszła za niego... Nim jeszcze się ożenił, nie wiem jak męża mojego sobie zupełnie ujął i z nim tak związał, iż mu głowy nadstawiając pomagał.

Jak tylko ślub wzięli, on i mąż mój pochwycili w ręce wszystko, poczęły się piekielne rządy. Kobieta postrzegła rychło, że w zastawione sidła wpadła, nie było wszakże ratunku, tylko już w opiece Bożej, i pociechy tylko w dziecięciu. Do dziecka tego przywiązaną była nadzwyczajnie, a przez to samo ojczym je nienawidził; wypłakiwałam oczy patrząc, co się we dworze działo z tą biedną panią, choć tam niby dla oczów ludzkich z wielką około niej chodzili rewerencyą...

Żyła jeszcze naówczas staruszka matka Podskarbicowej, a naraz jakoś w drugim roku po ślubie, gdy chłopaczek czwarty rok miał i dostał był jakiejś choroby dziecinnej, że się z domu ruszać nie mógł, bo czas był chłodny, dano znać pani, że matka umiera i wzywa jej do siebie. Musiała się w godzinę potem wybrać i wyjechać, rzucając dziecko, którego doktor nadworny brać nie dozwolił... Jakby biedaczka przeczuwała to, że go już nie zobaczy więcej, tak na wyjezdnem ściskając je płakała i rozstać się z niem nie mając sił, po kilkakroć do niego wracała...

Pan Bóg niech sądzi, co się naówczas stało — rzekła głos zniżając pani Brzeska do coraz bardziej przerażonego kanonika... nie chcę się nawet domyślać... Trzeciego dnia rozgłosili we dworze, iż panicz umarł, i tak się zwinęli z pogrzebem, że nazajutrz rano sam pan, mój mąż i doktor trumienkę na cmentarz wywieźli i pochowali.

Ks. Kanonik zerwał się z krzesła z załamanemi rękami.—Tekluniu! na rany Pańskie, czyż to może być... co oni zrobili! To kryminał — twój mąż...

— O! bracie kochany, wciąż po cichu szeptała płacząc siostra — ja nie wiem nic, ale co wiem, to ci opowiem, jak na spowiedzi. Co się z dzieckiem stało, Bóg jeden wie... to pewna, że nie tak było, jak mówili. Zaraz po wyjeździe pani, gdy jeszcze synaczek żył i nic mu nie groziło, zaczęły się między moim mężem a Podskarbicem jakieś konszachty, latanina, umawianie.. po dniach i po nocach... Mąż powracał do domu jakby przerażony, latał po izbie, mruczał, ręce łamał, gadał w nocy sam do siebie, szedł, wracał, jakby z sumieniem się borykał. W nocy słyszałam, jak przyniósł pieniędzy trzos spory i rzucił go do skrzyni... potem wysłał mnie do Krakowa nagle pod jakimś pozorem, jakby się świadka niepotrzebnego chciał pozbyć. Gdym powróciła, nie zastałam go, dowiedziałam się, że synaczek umarł, a męża gdzieś wysłano — dokąd? nie wiadomo, kilka dni go nie było widać... Gdy powrócił, tom go ledwie poznała, tak był blady, tak strasznie wzruszony, i od tej godziny mogę powiedzieć zaczęła się męka moja przez niego, bo się stał nieznośnym, nielitościwym, jakby mu sumienie spokoju nie dawało. Nie godzi się posądzać, ale przebacz Panie — on, jeźli tam co dziecku uczyniono, coś o tem wiedzieć i pomagać do tego musiał...

Coż to się w domu działo, gdy dowiedziawszy się na pogrzebie matki o śmierci dziecka, wróciła Podskarbicowa... do pustej kolebki. Myśleliśmy, że oszaleje lub umrze. Ledwie ją doktorowie z Krakowa wezwani odratowali... a długi czas chodziła jak opłądana. Do dziś dnia jeszcze w pokoju nieboszczyka panicza stoi wszystko, jak było... Zrobiła sobie z niego kapliczkę i tam się modli. Podskarbic, trzeba to przyznać, bardzo był dla niej dobry i troskliwy o zdrowie i czuły, jednakże go od tej pory znosić nie mogła i nie może. Temu już lat jest dziewięć, boleść ową straszną czas przemógł, żyją z sobą, przecież gdyby obcy... ona cała w modlitwie i we łzach, on po ucztach, biesiadach i po paniach duszkach... latając... Najgorsza to, że mojego męża oplątawszy raz, uczynił go i rządcą i komisarzem i powiernikiem, polepszył mu prawda los, dał mu się spaść groszem, a szczęście i spokój na wieki odebrał... Od śmierci dziecka co ludzie na Podskarbica i na mojego męża gadają, jakie wieści chodzą... nie chcę powtarzać, mój bracie... Śmierć dziecka czy też zatracenie jego przypisują im... Podskarbicowi może nic to nie szkodzi, bo bogaty i skoligacony, ma przyjaciół i obrońców, a mojego Brzeskiego ludzie prawie jako kata się strzegą i boją. Człek też się zmienił, zgorzkniał, popsuł... nieszczęśliwy on, nieszczęśliwsza ja... Zapłakała kobieta, kanonik siedział jak osłupiały.

— Podskarbicowi chciało się potomka i spodziewał się go, a może i ona też pragnęła, ale Bóg nie dał ani im, ani nam. Ludzie ztąd wnoszą, że to kara za utajoną zbrodnię...

Ks. Hodowski wstał wreście trzęsąc rękami i swoją biedną przekrzywioną głową...

— Ale ci się śni, biedna kobieto! — zawołał — żeś nieszczęśliwa, nie przeczę, że człowiek nie dobry, nie miły, kwaśny jakiś, tom ja dawno czuł i wiedział, lecz żeby znowu rzeczy tak zaszły daleko, aż do kryminału... nie wierzę. Ludzie plotą, ty jesteś łatwowierna, serce, które boli, roi rzeczy dziwne... Dziecko z choroby zmarło... mąż twój chciwy, w zarządzie majątku może tam co korzysta z tego, że się panu wysługiwał... ale... Nie! nie! — zawołał Hodowski — u nas, dzięki Bogu, podobne historye się nie dzieją... nie wierzę... nie wierzę.

Brzeska zamilkła ocierając łzy.—Mój bracie kochany— odezwała się po chwili — nie chcę ci powtarzać, co po śmierci dziecka powoli przez lata na wierzch wychodziło... Ludzie powiadają, iż dziecko jako żywo nie umarło, że je porwano i gdzieś wywieziono. A to prawie pewna, iż mąż mój został nagle z czemś w nocy wysłany i że gdy odjeżdżał sam się powożąc, ludzie płacz dziecięcy słyszeli... Mówią też, iż w trumience ciała nie było, tylko w szmaty poobwijane kamienie, które się, gdy ją niesiono, kołatały... A co najstraszniejsza rzecz... ach! — zaczęła płakać kobieta — nie mówmy o tem.

— Dajbo pokój, nie mówmy lepiej — przerwał kanonik — ja w to nie wierzę; znam ludzi i ludzkie języki... Stworzą z niczego, a jak zaczną powtarzać, dodawać, paplać... tak najniewinniejszego oczernią...

Na tem się skończyła rozmowa, a Maciejowa też z pomocą Janka do stołu nakrywać zaczęła, obiad milcząco przeszedł i smutnie; kanonik starał się na co innego sprowadzić rozmowę, siostra jego wzdychała. Po obiedzie ze łzami znowu skarżyła się na pożycie z mężem... Ks. Hodowski jednak nie dopuścił jej o tem wiele mówić, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, aby to wszystko prawdą być miało.

— Moja Tekluniu — rzekł w końcu — życie ludzkie nie jest roskoszą, jest próbą i obowiązkiem... Znosić je trzeba. Żyłaś z tym człowiekiem długie lata, święcie wycierpiałaś, co ci Bóg zesłał... dotrwajże cierpliwie do końca... a ludziom złym ucha nie dawaj i lada jakim baśniom nie wierz. Plotki rosną, jak na drożdżach... a w imaginacyi pęcnieją jeszcze... więc znakiem krzyża świętego odpędzić złe myśli i w modlitwie szukać pociechy.

Od tego dnia urodzin ks. kanonika dobrze rok upłynął... następnej rocznicy nie obchodzono, bo pani Brzeska tygodniem wprzódy oznajmiła, że chora leży i przybyć nie może... Maciejowa zwykle kłopocąca się tym obiadem, teraz gdérała bardzo, iż nawet urodzin już nie było. Kanonik mszę, do której mu Janek służył, odprawił i do swoich książek i krupniku powszedniego powrócił. W ciągu roku między nauczycielem a uczniem zawiązał się stosunek prawdziwie ojcowski... z żadnego ks. Hodowski takiej pociechy nie miał. Chłopak był żywy, pracowity, roztropny, trochę butny, ale serca dobrego, czasem się uniósł, ale zaraz tego pożałował. Uczył się doskonale, może nawet nazbyt wyprzedzając domysłami to, czego mu jeszcze nie powiedziano; najmniejszej skazówki dość mu było, ażeby jak mówił klecha, świdrował zaraz po szlaku idąc dalej a dalej. Gdy w pół zadania już rozwiązanie naprzód odgadywał, kanonik się śmiał i po głowie go klepał... nie mogąc się dość nim nacieszyć. Maciejowa nie dopuszczając go psuć księdzu, sama pieściła jak dziecko własne. Co parę tygodni przybywała też Hruzdzina zobaczyć wychowańca i przynieść mu jaki przysmaczek. Opływał więc we wszystko i już miał przygotowany dobrze przez samego kanonika do szkoły zacząć chodzić, gdy w kilka tygodni po cichych urodzinach owych, ks. Hodowski zasłabł, co mu się nigdy nie trafiało. Życie prowadził nadzwyczaj regularne, spokojne, i można powiedzić, że jednem z pierwszych doznanych strapień była wiadomość o nieszczęśliwym siostry losie, którym się gryzł niemało. Słabowity, cherlający, ks. profesor najregularniej przecie chodził na lekcye, na nabożeństwo, nie pieścił się wcale, i skrzypiąc tak trzymał się jednakowy ciągle, że na nim nawet prawie lat śladu nie widać było. Jednego ranka wszakże mając wstać o zwykłej godzinie poczuł się osłabłym bardzo, popróbował na gwałt ściągnąć z łóżka i upadł. Dostał zawrotu głowy, posłano po doktora... Stary Fiszer fizyk, jak wówczas nazywano, pomacawszy pulsu, zawyrokował, że krew koniecznie puścić było potrzeba. Puszczono więc obficie, nie zważając na podeszły wiek chorego, nakazano spoczynek, ziółka i mixturę, którą Janek siadłszy u łóżka miał dawać co pół godziny. Skutkowała ona to prawda, ale osłabiając i tak już osłabionego staruszka, który drugiego dnia drzemać sobie począł, i choć przytomny, sennem był ciągle. Fiszer zawyrokował, że się choroba przesila, że chory snem odzyska siły, i bardzo był z siebie rad; kanonik wszakże trzeciego dnia sam zrozumiał, że mu nie wiele do końca pozostało... Siłą woli odzyskał cokolwiek przytomności, zakłopotał się o sierotę, pół słowem Janka Opatrzności polecił, Maciejowej coś nie zrozumiale zadysponował... zasnął potem znowu i już się biedny nie przebudził. Doktor Fiszer nadszedłszy zrana, gdy nikt jeszcze śmierci się nie domyślał, pierwszy ją oznajmił i oświadczył, że zaszła prawidłowie, gdyż staruszek wyczerpał się pracą, siedzeniem i nieposilnem jadłem. Dodał, iż gdyby był krwi nie puścił i mixtury nie dał, byłoby jeszcze daleko

gorzej. W jednej chwili wieść ta, która Janka osłupiła, poruszyła całą ulicę i rozeszła się po mieście. Znalazły się władze, reprezentant akademii, ktoś posłał zaraz dać znać siostrze... Opieczętowywano pokoje.. Maciejowa ryczała z płaczu zabierając węzełki swe i nie wiedząc dobrze, co z sobą ma zrobić; Janek też wygnany prawie, znalazł się w ulicy, nie myśląc jeszcze, co z sobą pocznie, a bolejąc tylko nad stratą człowieka, który dlań był czułym opiekunem i ojcem... Na dole mieszkający szewc, ubogi człeczyna, który znał dobrze Janka i bardzo go lubił, dał mu chwilowy przytułek u siebie... Chłopak siedział przybity, gdy wkrótce potem siostra zmarłego i mąż jej kulawy nadjechali. Ale pierwsza dla płaczu nie zajmowała się niczem oprócz swego żalu i nieboszczyka, drugi zaś obejmował co najrychlej nieruchomości i ruchomości, a szukał sum ukrytych, mając najmocniejsze przekonanie, iż ks. Hodowski zbierał kapitały i tylko się z niemi nie wydawał.

Pogrzeb odbył się ze zwykłą pompą akademicką, bo teraz, gdy suchego, małego człowieczka, który nieraz swym rozumem i nauką dokuczył wielu, nie stało, wszyscy go żałowali, ubolewali nad stratą, jaką alma mater poniosła, i sławili znakomite zasługi uczonego. Nikomu już nie zawadzał. Brzeski ledwie z ceremonii tej powróciwszy, jął się papierów i pozostałości po nieboszczyku, przewracając dóm do góry nogami. Testamentu wszakże ani pieniędzy, wyjąwszy pięciu talarów i dwóch oberzniętych dukatów, nie znaleziono. Brzeski chciał gospodynią dać więzić i wziąć na męki, ażeby wyznała, co się stało z pieniędzmi; jąć się miał i chłopca, pozywając go na świadectwo, koniec końcem jednak siostra nie dopuściła do tych ostateczności. Maciejowa poszła wolno, a Janek musiał dopiero myśleć, co dalej robić.

Nie małem to zadaniem było znaleźć sobie przytułek i chleb, o którym by dalej uczyć się można. Szewc wprawdzie chętnie poczciwego chłopca przyjąć się ofiarował, lecz wymagał, aby do szlachetnego kunsztu się przykładał, co jakoś Jankowi nie smakowało.

— Bo to ty ludzi słuchasz i wymysłów ich niezdarnych, co na tych nieszczęśliwych szewców niesłychane rzeczy pokomponowali! Niech sobie się naśmiewają z dratwy i z szydła... a gdyby nie my, toby wszyscy w postołach chodzili lub nogi darli... Królowie nawet bez szewców się nie obywają. Rzemiosło sławne... z głodu człek nie umrze, póki ludzie nogi mają...

Wszystko to nie przekonało Janka, który odpowiadał, że uczyć się pragnął... Ot, z pozwoleniem głupiec — odparł stary szewc... gdybym był ojcem twoim, tobyś za to pociągaczem dostał. Po co się tobie uczyć? co tobie po nauce? Dosyć tego rozumu, gdy kto w książce od nabożeństwa czytać umie, a nazwisko podpisać, reszta to tylko próżność diabelska, mosanie, i zepsucie... po co? do zbawienia rozum nie potrzebny... a fanaberye stroi... ale rób sobie, co chcesz... abyś no tylko z rozumem w głowie bez butów nie chodził, ty, co ich robić nie chcesz...

Choć czując się mocno obrażonym tem, że chłopak szewcem być nie chciał, majster pozwolił mu u siebie dzień przebyć, póki by sobie przytułku nie znalazł. Gdzie go tu było szukać?? Janek nie znał prawie nikogo... kilku chłopców tylko rzemieślników, co do kanonika chodzili. Z tych żaden zamożniejszym nad niego nie był... Jeden chodził z garnuszkiem od drzwi do drzwi żebrząc łyżki strawy, którą mu mieszczanie dawali; drugi za chłopca służył przy majętniejszych, trzeci miał krewnych ubogich, co go żywili. W daleko szczęśliwszem położeniu była Maciejowa, jako rodem Krakowianka i mająca tu wiele krewnych. Przez długie lata służby choć może nie zebrała wiele grosza, ale ją ludzie, znając jej uczciwość i oszczędność, posądzali o to, że w węzełkach coś mieć musiała, familia więc dosyć chciwie się o nią ubiegała. Drugiego dnia już się w alkierzu u stolarza, stryjecznego brata swego, rozłożyła z dostatniemi remanentami. Trzeba było trafu szczęśliwego, iż ją w ulicy z nabożeństwa powracającą spotkał Janek, który błądził bez celu.

— A ty chłopcze co robisz z sobą? — spytała gospodyni — cóż ty myślisz?...

— Myślę, że chyba pan Bóg mi co nastręczy... bo ja sobie rady nie dam — rzekł Janek — nikogo nie znam i nic nie umiem — Stara pokiwała głową.

Szkoda, żebyś się tak włócząc marnował — rzekła — jabym ci miejsce znalazła, ino ty chcesz się gwałtem uczyć... a tu trzeba na życie pracować...

Chłopiec zmilczał. — Na to nie ma innej rady, tylko służby szukać musisz... a ja ci bym ją może znalazła. Chodźno za mną.

Nieboszczyk ks. Hodowski mało co wina używał, czasem jednak pił po kieliszku starego, nie mogąc nigdy dójść, jakim sposobem zaczęte przez niego butelki nadzwyczaj prędko wysychały... Ńiekiedy zaznaczał na nich póki wypił, a nazajutrz znajdował, że drugi tyle wyparowało. Tak mu przynajmniej gospodyni dowodziła. Wino to brał tylko ks. Hodowski tam, gdzie był pewien, że znajdzie czyste i nie fabrykowane... u Materskiego w rynku... Materskiego piwnica w owych czasach najsławniejszą była w Krakowie, i kto się chciał zdrowego wina napić dla konkokcyi i pokrzepienia sił, szedł tylko pod zieloną wichę. Ten znak staroświecki, gałąź sosnową z drzewa wyrobioną, pomalowaną jaskrawo z szyszkami złotemi, nosił od wieków handel win Materskich. Sam gospodarz, człeczek suchy, zły, krzykliwy, drapieżny, zajmował się wszystkiem, i zapewne za wiele na głowę wziąwszy, tak sobie żółć pobuzrzył. Nie mógł sobie rady dać, a ludzie też z nim. Służbę przyjmował i wypędzał co kilka tygodni... Nie był może tak bardzo winien, bo mu się trafiali pomocnicy zawsze,

którzy już chyba nigdzie indziej miejsca znaleźć nie mogli. Maciejowa wielce szanowała Materskiego i była też u niego w łaskach... Pomyślała zaraz, czyby tam Janka nie mogła umieścić. W chwili, gdy właśnie ów nieszczęśliwy gospodarz mszcząc się za jakąś szkodę na niewiernym posługaczu, bez czapki z pięściami zaciśnionemi leciał przez rynek kułakami ścigając zbiega... Maciejowa stanęła przed nim...

Materski omal zrazu jej nie dał, co miał przygotowanego dla uciekającego chłopca, w czas się jednak upamiętał. — Jezu Chryste, co się jegomości stało? — zawołała Maciejowa — co robisz? gdzie lecisz bez czapki?

Stary mówił, jak młyn pytluje prędko i ogniście.

— Trzysta tysięcy by go mordowało, psu brata tego, niegodziwca, Karolka... gąsior jucha stłukł, garniec wina na półtora czerwonego złotego... Mam mu darować? nie! skórę złupię z niego, oczy mu łajdakowi wydrę... nie przebaczę... bo jucha winien... Ryhotał, zęby szczerzył, pod nogi nie patrzał...

— Ale dałbyś pokoj; panie Materski, tak poważnemu obywatelowi gonić za chłopcem — rzekła Maciejowa. — Dopiero się pomacał po łysinie i opatrzył czcigodny kupiec, że pod Sukiennice wybiegł bez czapki... Zawrócił się zawstydzony mrucząc.

— Słuchaj pan, panie Materski — rzekła goniąc go Maciejowa — ja do jegomości szłam z prośbą; kanonikowi się zmarło... miał on wychowańca, chłopaka jakiego pod słońcem szukać i nie znaleźć... Biedactwo bez przytułku, poczciwy i roztropny... ja myślałam, że go pan weźmiesz do handlu...

— Kto? ja? do handlu? szelmów tych, łotrów, urwiszów, uliczników będę brał — krzyknął Materski — żeby mi wino wypijali, tłukli, marnowali, wylewali... kradli. Niedoczekanie ich... małpy sobie sprowadzę, psy sobie powyuczam... diabłu duszę sprzedam, żeby mi nosił z piwnicy, a więcej żadnego nie wezmę... nie wezmę...

— Cóż to jegomość bluźnisz! — zgorszona rzekła Maciejowa — nie ma widzę co z panem gadać...

Stary się pomiarkował. — Ale bo człek stracił przytomność... z gniewu...

— To właśnie pora kogoś porządnego wziąć do handlu.

— A tak! porządnego! — zaśmiał się Materski. — A tak! Gdy to paskudztwo włazi pierwszy raz.... to takie porządne, ciche, posłuszne, dobre, choć na nagniotek go przyłożyć, a niech no trochę się rozpatrzy po kątach... i na kagańcu tego nie strzymasz... Trzykroć sto tysięcy...

— Dałbyś pan pokój, panie Materski... Zdaleka Maciejowa dała znak Jankowi, żeby się zbliżył; podszedł bez wielkiej ochoty... Materski mu wciąż w oczy patrzał...

— No, co to to — rzekł — cherlawe... wyschłe nad elementarzem... to drzazga nie chłopiec! Czy chciałbyś do handlu? — zapytał...

— Nie koniecznie — odparł Janek — do handlu ochoty nie mam, uczyć się chcę... Ale przytułku nie mam, to bym służył dla chleba...

— A widziałeś, jakem tego nicponia, łotra pięściami gnał? — dodał kupiec — hę?

— Widziałem i dziwowałem się, że on uciekał i żeś go pan gonił...

— Dlaczego? — zapytał kupiec.

— Bo człowiekowi każdemu trafić się może pobłądzić, a pan tyle lat żyjąc na świecie wiesz pewnie, że młodemu łatwiej o to niż innym.

— A gdzie się ty filozofii uczył, chłopcze? — spytał Materski.

— W katechizmie — uśmiechając się rzekł Janek.

Kupiec oczyma rzucił i zmilkł.

— Co tam z tobą gadać, kiedy do handlu ochoty nie masz! — mruknął kupiec — idź z Bogiem...

Janek się skłonił i zabierał odchodzić zwolna.

— Czekajże, czego ci pilno! tfu! a to znowu harda dusza w ubogiem ciele. Czekaj — krzyknął Materski. — Pani Maciejowa cię rekomenduje mocno... no to... no to dam ci przytułek, póki sobie co innego nie znajdzisz... Uczciwy masz być, powierzę ci klucze...

— Jak się panu podoba — rzekł Janek z ukłonem — za uczciwość moję ręczę, za rozum niekoniecznie, ale proszę wprzódy mnie nauczyć, co mam robić, a potem się dopiero gniewać, gdy zawinię...

Materski go po ramieniu poklepał.

— No, nie bój się, nie zjem cię... nie zjem... Niechno pani Maciejowa — dodał — lampeczkę przyjmje na dobrą wróżbę, a daj Boże, aby się chłopiec udał... to jej doprawdy wdzięczen będę...

I tak Janek znalazł się niespodziewanie w winiarni pana Materskiego; dziwne ludzkie losy! (C d. n.)

SZKICE MYŚLIWSKIE UKRAINY

Z NATURY PRZEZ

BERLICZA SASA.

(DOKOŃCZENIE.)

Mieszkał w domu u Starosty,
Titulo druha starego,
Człek jak on pobożny, prosty,
Charakteru najlepszego.

Znacznej fortuny przed laty
Właściciel, dzisiaj ubogi,
Wiódł, chociaż nie miał intraty,
Byt spokojny, cichy, błogi.

Dobiesława miał nazwisko,
I lat ośiemdziesiąt blisko.
A że moralnemi cechy
Swej natury dla starosty

Był dogodnym, swoje grzechy
Jak on karcił modły, posty,
Jedne z nim pamiętał dzieje,
Jednakie miał gusta, zdania,
Wstawał skoro kur zapieje,
I z kurami szedł do spania:
Więc pan Wessel szczerze cenił
Cnego pana Dobiesława.
I któżby go nie ocenił,
Gdy czy smutek, czy zabawa
U starosty — on bywało
Przychylność dowodził stałą,
I uczuć wiernych ofiarą
Wdzięczność swą potwierdzał starą.

Obydwa szczerze sprzyjali
Mikołajowi — bywało
Nieraz się za boki brali,
Gdy rezolutnie i śmiało
Fałszem prawdę kiereszował,
Lub spiewkę improwizował,
Której tekst i nuta miały
Ostrego komizmu cechy
I dziwacznością wzbudzały
Głośne aplauzy i śmiechy.

Pewnej nocy — jesień była —
Spoczynku chwila wybiła,
I w Zamczykach o tej porze
Spali we wsi i we dworze.
Wtem ktoś jak upiór ballady,
Jeździec piekielny Lenory,
Przez ciche sioła lewady
Do wrót zmierza swój bieg skory.
Stanął wreszcie, z konia skoczył,
Okiem dokoła potoczył,
Na klamkę rękę położył,
Pocisnął, furtkę otworzył,
Na palcach zbliża się zcicha,
(Czy nie rozbójnik u licha?..)
Idzie, idzie, i do domu
Wcisnął się już pokryjomu.

Pan Dobiesław w swej komorze
Smaczno chrapał o tej porze.
Wtem się mu zdało, że blisko
Ktoś wyrzekł jego nazwisko,
Do łóżka jego podchodzi
I po wąsach ręką wodzi.
„Apage! diable przeklęty!“
Sennemi usty zawoła,
Prawicą znak krzyża święty
W powietrzu kreśli dokoła.
Nie pomogło! nocnej mary
Dłoń go trąca lodowata.
„Matko Zbawicieia świata
„Zmiłuj się!“ — bełkoce stary.
Wtem ktoś krzyknie mu do ucha
Głosem trąby: „Panie Janie!
„Wstawaj gotowe śniadanie!“
Starzec powieki otwiera,
Z przerażeniem nań spoziera,
W końcu rzeknie: — „Ktoś ty?—gadaj!
„Jeśliś diabeł, giń, przepadaj!
„W Imię Ojca, Syna, Ducha,
„Exorciso te!..“ Śmiech znany
Przerwał sen i strach staruszka,
Bo poznał uradowany
Mikołaja koło łóżka.
„Jezus Marya!.. co to znaczy?
„Niech mi pan objaśnić raczy!
„Zkąd wziąłeś się?.. pozno... w nocy...
„Wszak już dawno po północy!
„Co się stało?... niech wiem przecie...
„Mało co bywam na świecie...“

Gdy tak mówi i rzecz bada,
Mikołaj siarczyk roznieca
I lampę milczkiem zaświeca.
Potem na łóżku usiada,
Z torby flaszę wydobywa,
Zręcznie korek z niej wyrywa,
Sporej miary srebrny kubek
Wnet napełnia po sam czubek,
Staruszkowi go podnosi
I wychylić duszkiem prosi.

„Czyś oszalał?“ — rzeknie stary —
„Cóż ci panie Mikołaju?
„Przed pacierzem spełniać czary
W nocy nie mam we zwyczaju.“

„Porzuć próżne ceregiele!“ —
Nato kusisiel zawoła —
„Powitać winem niedzielę
„Prawo nie wzbrania kościoła,
„Byle winko dobre było
„Stare i myszką trąciło.
„W tem grunt cały, panie Janie!
„A więc, golniem na śniadanie!“

Naprózno się starzec bronił,
Kubek odtącał usilnie,
Zaklęcia i prośby trwonił
Na skutek ich licząc mylnie.
Mikołaj tak uporczywie
Zawziął się na starowinę,
Tak go kusił błagał tkliwie,
Cmokał w ręce, twarz, łysinę,
Łaskotał w pięty, swawolił,
Zwijał się na różne łady,
Że czy rady, czy nie rady
Cny Dobiesław golił, golił,
Kubek wychylał po kubku,
Mikołaja dzieląc zapał,
A gdy mu ściemniało w czubku,
Padł na łoże i zachrapał.

Nikł nie widział, nikt nie słyszał
Tej komicznej epizody,
Dóm cały snem krzepkim dyszał
Nieprzewidując przygody.
Mikołaj z figielka rady
Wyskoczył, dosiadł biegusa
I do domu przez lewady
Pospiesznego machnął kłusa.

Starosty było nałogiem
Od lat czterdziestu bez mała,
Po zwykłej biesiadzie z Bogiem,
Co przeszło godziny trwała,
Iść do pana Dobiesława,
Gdzie nań już czekała kawa,
Pogawędzić z nim troszeczkę,
Przytem wypalić fajeczkę.
I zawsze się tak zdarzało,
Że Dobiesław, ptaszek ranny,
Skończywszy pacierz poranny
I psalmów pół kopę całą,
Czekał umyty, ubrany,
Pasem słuckim podpasany,
Nadejścia pana Wessela
Chciwy cmoknąć przyjaciela.

Lecz tą razą Dobiesława
Poranek zbudzić nie zdołał!
Z węgrzynem nie łatwa sprawa,
On to staruszka podołał.
Spał głęboko, gęsto sapał,
Kwiczał, świstał nosem, chrapał,
Coś nieźwięzle mruczał, gwarzył,
O czemś widać we śnie marzył.

Zdumiał się pan Wessel wielce
Na ten widok. — „Czy nie chory?“
Myśl nie przyszła o butelce:

Do posądzeń nie był skory.
„Panie Janie!... panie Janie!..“
Wołał starosta — „mospanie!
„Odezwij się przecie — może
„Niedomagasz, chowaj Boże!..
„Milczy!.. a czerwony jaki!
„Głowa w ogniu... źle się dzieje!...
„Hola!.. hola!.. kto tam taki!
„Dalipan ja oszaleję!..

(Nadbiega lokaj)
„Przecież jeden!... a gdzie Todoś?
Marcin, Gabryk, Jan i Sawa?..
Wołajno ich... jeszsze kogoś...
„Prędzej durniu!
(służący wnosi kawę))
Panie! kawa!
Starosta (niecierpliwie)
Idź do diabła z twoją kawą!
Cyrulika!... tylko żwawo!
Żwawo!... słyszysz?.. chę?.. łajdaku!
Cóż to!.. czy jedziesz na raku?
Kara Boga! głowę tracę!..
Hola! kto tam!..
(wpada lokaj)
Weźno tacę
I leć duchem po rumianek,
Dam mu wypić parę szklanek...
Albo... wróć się... hej!.. od razu
Przynieś bzu, szałwii, ślazu,
Lipowego kwiatu, mięty...
Leć na skrzydłach!.. Duchu święty!
Oświeć i natchnij, dla Boga!
Bo mię trapi wielka trwoga.

(wchodzi Icko cyrulik)
Icku! bierz się do roboty!
Otrzymasz czerwony złoty,
Korzec żyta, dwa pszenicy,
Grochu, maku, soczewicy,
Owsa, siana, a do tego
Konika z tabunu mego.
Znasz mię, com rzekł, to dotrzymam;
Tylko poradź co choremu!
Bać się o niego zaczynam.
Nie wiem, co się stało jemu.
Cyrulik (opatrując chorego)
Aj wej mir! aj wej mir! szkoda!
Pan Dobiesław ganz jak kloda!
Giter purez taki! — aj! — niech
Gicher dadzą sinapizmiech;
Na lytkiech trzeba położyć,
I krew z dwóch rękiech otworzyć.
Prędzej cieplej wody! bo tu
Będzie z nim dużo klopotu.
Apopleksich nie żartuje,
W moment ein Mensch ekspediuje!
Starosta (załamując dłonie)
Spiesz mój Icku! spiesz dla Boga!
Z łaski nieba, nieuboga
Kieszeń moja — wynagrodzę!
A w tej chwili cierpię srodze.

Cyrulik (wpatruje się zbliska
w lice chorego)
Co to znaczy? Co to znaczy?..
Niechno Jasny Pan zobaczy...
Of me munes, wielkie dziwo!..
Ale powiem rzecz prawdziwą,
Nasz pan Dobiesław kochany
Wcale nie chory... on piany.

Starosta (zdziwiony)
Oszalałeś!
Cyrulik.
Niech pan wierzy,
Chodźmy, niech sobie poleży.
Starosta.
Bredzisz! piany! śni się tobie!
Zkądżeś to wymyślił sobie?
Cyrulik.
Niech Jasny Pan powąchuje,
Jak win z gęby popachuje...
Starosta (sprawdziwszy
twierdzenie Icką)
Tak, realnie, trąci winem,
I notabene węgrzynem...
Widzę jasno, tak, prawdziwie
On piany, na dobre piany!
Frasuję się tem i dziwię.
To wypadek niespodziany!
Sam pić nie zwykł, więc ktoś spoił.
Ale kto? i kiedy? kwestya!
Jakiś szaławiła, bestya
Wkradł się w nocy i nabroił.

Indagacya nie odkryła
Winowajcy, nikt nie wiedział,
Czyja zatem sprawka była,
Starosta się nie dowiedział.
Biedny staruszek dopiero,
Gdy się wytrzeźwił dnia tego,
Nazwał, mówiąc prawdę szczerą
Mikołaja Przyłuskiego.

VII.

Pan Jan częstuje węgrzynem.

Jeszcze, jeszcze bankietują,
Coraz żywiej wre ochota;
Jedzą, piją i żartują,
Lśni wesela gwiazda złota.
Roznoszą kolejno wety,
Ciasta, kremy, galarety,
Lody, frukta, a na końcu
W południa skąpane słońcu,
Barwą jego ozłocone:
Malagę, Montefiascone,
Lacrima Christi, Pulciano,
Lunet i polskiej piwnicy
Klejnot, Tokaj złotolicy.

„Precz z tamtemi!“ — zawołano —
„Czy to my baby, u kata?
„Nie nam spijać te słodycze!
Godzien lepszego Sarmata!“

(do lokai)
„Węgra nam lejcie panicze!
„Węgra pili nasze dziady,
„Naśladujmyż ich przykłady!“

I rozszedł się zapach myszki,
I napełniono kieliszki,
I stuknęli jeden z drugim,
I smakują haustem długim,
Bo grzech wielki pić węgrzyna
Jak się piją inne wina.
Tokaj stary czci wymaga,
On smak łechce, siły wzmaga,
Ciepłem żywotnem przenika,
Ożywiłby nieboszczyka!
Dla Polaka Tokaj stary
Nad ambrozye i nektary!
W cześć przyjaźni i miłości
On się pienił, złocił w czarze;
On sarmackiej gościnności
Skrapiał ofiarne ołtarze;
Nim ojczyźnie tost pijano,
Wawrzyn sławy oświęcano,
Ślubne wiwaty spełniano,
Łzy na stypach zaprawiano,
Jednem słowem, krom węgrzyna
Dla Polaka nie ma wina!

Gdzieście wy, arcykapłany
Świątyń Bachusa polskiego!..



Bogumił Dawison.

Zamku Żorniszcz stare ściany,
Pastwa czasu niszczącego,
Długo pieśnią waszą brzmiały,
Długo, długo pamiętały
Nieśmiertelne wasze czyny,
Godne hołdu Ukrainy!
Tam Komarzewski, co pijał
Z szatany zaklęte tosty,
Beczkę węgra w dzień wypijał
U Strutyńskiego starosty.
Tam Rościszewski infułat,
Brat rodzony Starościny,
Któremu pancerz i bułat
Więcej przystały do miny,
W imieniu wstrzemięźliwości
Karcąc swoje namiętności,
Puharem trąbił victoriam
Ad majorem Dei gloriam.
Tam ów Borejko z Pikowa,
Bachanaliów wódz wsławiony,
Którego imię przechowa
Długo pamięć naszej strony,
Gdy raz kwestarza z Winnicy
Pojmał, tak się był rozchodził,
Że wlazłszy z nim do piwnicy
Dopóty z niej nie wychodził,
Aż z pomocą kapucyna
Wysuszył sto flasz węgrzyna!

Tak to dawniej nasi pili
W namiętności bujnych szale,
Z dniem obecnym tylko żyli,
O jutro niedbając wcale!
Była szczerość i odwaga,
Były zasługi publiczne,
Cnot domowych wzory liczne;
Lecz chłodna, zdrowa rozwaga,
Zdolna sterem kraju władnąć,
Złe uprzedzić i odgadnąć,
W rozhukanej znikła woli
Wirem porwana swawoli!..
Kłócili się i hulali,
Winem rozum zalewali,
A gdy zmysły odzyskali,
Już ojczyzny nie zastali
Na starodawnej posadzie!
Tylko rozwiane w nieładzie
Piorunem gniewu Iehowy
Gruzy olbrzymiej budowy,
Ruinę wieków i czynów
Osnutą splotem wawrzynów!...

BOGUMIŁ DAWISON.

Polska dostarczyła Niemcom również jak i innym krajom nie jednej znakomitości, którą oni uważają za swoję rodzimą, a która tylko przez zbieg okoliczności została przyswojoną tym obcym ziemiom. Szczególnie obficie zaopatrzyła Polska Niemcy, a między innemi ich scenę dramatyczną. Trzech najznakomitszych artystów dramatycznych niemieckich było rodem z Polski: Ludwik Dessoir, Teodor Döring i Bogumił Dawison. Nazwika ich wprawdzie nie polskie, ale rodzili się na ziemi polskiej, odebrali polskie wychowanie i byli w rzeczy Polakami tak dalece, że dopiero w poźniejszym wieku uczyli się niemieckiego języka, którym poźniej tak dzielnie władali na scenie.

Sami Niemcy, którzy zwykle usiłują sobie przywłaszczyć wszelkie znakomitości w naukach i sztukach, przyznają to, że ci trzej pierworzędni artyści dramatyczni w Niemczech byli Polakami. Alfred Wurzbach, w dziele pod napisem „Zeitgenossen“, czyni z tego powodu uwagę, jakoby ziemia polska była w stanie wydawać bardzo znakomite talenta, ale ich wyżywić nie umiała. Gdyby pan Wurzbach był się zastanowił nad nieszczęśliwem położeniem Polski, znalazłby w tem wytłumaczenie, dlaczego Polska swoich talentów wyżywić nie może. Ztąd wszakże nie wynika, ażeby to, co miała Polska najznakomitszego, musiało szukać pola sławy w obcych krainach. Owszem możemy to bez zarozumienia powiedzieć, że tych nie wielu Polaków, których cudzoziemcy poznali i których zaliczają do swoich pierwszorzędnych znakomitości, są dla nich wskazówką, ile jeszcze Polska ukrywa w swojem łonie znamienitych sił nie znanych w obczyźnie, a nie dość może ocenionych w swojej ojczyźnie.

Jak się stało, że tak świetny talent, za jaki sami Niemcy uznają Dawisona, wypartym został z widowni narodowej, a prawie gwałtem popchnięty na obcą, o tem najwięcej może Lwów powiedzieć, bo Lwów ma tę smutną zasługę, że Dawison zamiast z patryotycznem poświęceniem dobijać się na szczuplejszem polu ojczystej sceny wawrzynów pierwszorzędnego artysty i patryoty zarazem, zbierał je na polu kosmopolitycznem sztuki wogóle. Rzeczywiście zamiast ograniczyć się na Warszawę, Wilno, Żytomierz, Lwów, Kraków, Poznań, co już dla niejednego z polskich artystów jest nader obszernem polem, udał się Dawison na pole kosmopolityczne; bo skoro tylko zajaśniał na niemieckiej scenie swoim talentem, nie było odtąd znakomitej sceny w Europie i w Ameryce nawet, na którejby Dawison nie występował. Nietylko w Dreznie, Lipsku, Hamburgu, Wiedniu, Monachium i wszystkich niemieckich miastach, posiadających lepsze teatra, ale i w Amsterdamie, Nowym Yorku, Paryżu, Londynie, Petersburgu, Pradze, Peszcie zapragniono oglądać tego reformatora sztuki scenicznej.

Reformatorem był Dawison w tym zawodzie, chociaż nie był bez wad. Krytyka niemiecka, która przez jakiś czas brzmiała pochwałami dla Dawisona, nie była wszakże ślepą na usterki w jego grze. Mianowicie zarzucano Dawisonowi, że ufny w genialność swoję w oddawaniu ról, chwytał się czasem takich, do których ani przez powierzchowność swoję, ani przez temperament usposobionym nie

był. Jestto wszelako wada właściwa prawie wszystkim wielkim ludziom w rozmaitych zawodach. Wszakże dzieje są pełne anegdot o wielkich wodzach, którzy się lubili popisywać swoim słabym talentem do muzyki albo do poezyi; o wielkich politykach, którzy lubili nudzić na śmierć swojemi lichemi wierszami gości słuchających ich przez grzeczność; o wielkich uczonych, którzy swoją fałszywą muzyką darli uszy słuchaczom, albo namiętnie lubiąc taniec niezgrabnością swoją rozśmieszali widzów. Jeżeli więc to jest błędem, że Dawison czasem grywał niewłaściwe role, to miał on w tem tylko coś wspólnego z wszystkimi wielkimi mężami. Krytyka nie przebaczyła jednakże i innym, istotniejszym brakom jego artystycznego zawodu, o których poźniej wspomniemy; ale pomimo to zgodzili się wszyscy krytycy, nawet najnieprzyjaźniejsi Dawisonowi, że był on twórcą nowego sposobu gry na scenie. W czem ta nowość zależała, nie jest tu miejsce rozwodzić się nad tem, należy to bowiem do historyi sztuki dramatycznej i wymaga obszernego umiejętnego obrobienia. Ze stanowiska biografa należy nam tylko zwrócić uwagę na to, że krytyka sceniczna wskazuje Dawisonowi w dziejach sztuki dramatycznej podobne znaczenie, jakie ma Liszt lub Chopin w dziejach muzyki.

Zkąd wziął swój początek tak wielki talent? Jakie okoliczności wpływały na jego rozwinięcie?

Rzecz to godna zastanowienia tak pod względem psychologicznym, jak dziejowym.

Ubogi żydek warszawski, obdarzony właściwym żydom zmysłem zarobkowania i niezwykłemi zdolnościami, mianowicie bystrością umysłu, ułatwiającą nabywanie wszelkich nauk, nie zapowiadał Bogumił w młodości bynajmniej tego świetnego talentu, jakim zajaśniał poźniej przed światem, nie zdradzał nawet skłonności do sceny. Być może, iż wstręt starowierców żydowskich, jakimi byli rodzice Dawisona, przytłumił w nim wrodzoną zdolność. Skorsi jednakże jesteśmy do wniosku, że Dawisona genialne uzdolnienie nie byłoby mu i na innem polu ułatwiło dojście do wysokiego stopnia doskonałości, gdyby znalazł był potemu sposobność. Jestto bowiem właściwem genialności, że w każdą dziedzinę z łatwością się wdraża i w każdej celować może, jeżeli tylko przy pierwszem obudzeniu się iskry ożywczej dozna przyjaźnego tchnienia. W naukach nie mógł Dawison próbować swego uzdolnienia, bo ubóstwo rodziców, którzy z uszczerbkiem własnych potrzeb łożyli wszelkie koszta, aby Bogumił mógł przynajmniej skończyć liceum, zmuszało go szukać wcześnie w pracy ratunku od nędzy. Już jako 12letni chłopiec, gdy rodzice jego w r. 1830 stracili ostatek swojego mienia, musiał Bogumił szukać zarobku. Czemże mogło takie dziecko zapewnić sobie utrzymanie? Pracą rąk trzeba było zarabiać. I w tem sprzyjała mu Opatrzność z jednej, a opłaciła się chłopcu jego pilność z drugiej strony. Dwunastoletni Bogumił (ur. 15. maja 1818 w małej wiosce pod Warszawą) nie mógł się jeszcze niczem innem zalecić, jak tylko bardzo ładnem, kaligraficznem pismem. Otrzymał on miejsce u notaryusza, gdzie sobie zarabiał 5 rubli miesięcznie. Tak szczupły dochód nie wystarczał na utrzymanie chłopca, który oprócz tego udzielał pomocy swoim rodzicom. Zarabiał sobie zatem Bogumił malowaniem szyldów i godeł. Nie zadawalniał się tem umysł chłopca, pragnący zajęcia nastręczającego więcej sposobności do kształcenia się. Przypadek zbliżył go do redakcyi „Gazety Warszawskiej“, której redaktor, profesor Krupski, przyjął go jako przepisywacza, ceniąc zrazu tylko jego ładne pismo. Wkrótce jednak dostrzegł Krupski większe w chłopcu zdolności, niż na prostego przepisywacza potrzeba. Ułatwił mu zatem sposobność do uczenia się języków niemieckiego, francuzkiego i angielskiego, w których Dawison wkrótce takiej nabył biegłości, że mógł pomagać Krupskiemu nietylko w redakcyi „Gazety“, ale i w tłumaczeniu sztuk teatralnych. Pomimo tego umysłowego zajęcia, niepogardzał Dawison innym zawodem, mogącym mu zapewnić jakiekolwiek utrzymanie. Wyuczył on się układania czcionek, aby w razie potrzeby mógł się poświęcić zawodowi drukarskiemu. Jednakowoż już tłumaczenie dramatów niemieckich i francuzkich, jakoteż niektórych angielskich, obudziło w Dawisonie zamiłowanie do dramaturgii. Miał on jako współpracownik gazety wstęp do teatru i z niezmiernym zapałem przypatrywał się, jak te postacie, które pod jego piórem, jako tłumacza, przedstawiały się w słabych zarysach, przybierały na scenie ciało i życie. Zwłaszcza gra znakomitego wówczas aktora Kudlicza, roztliła w nim ochotę do sceny i obudziła przeświadczenie, że jest do niej powołany.

Odtąd powziął Dawison postanowienia poświęcenia się zawodowi dramatycznemu. Pomimo zapału, jakim pałał do tego zawodu, przystępował przecież Dawison z roztropną oględnością do rzeczy. Zimny rozsądek, który w całej grze Dawisona był może jedném z głównych źródeł jego doskonałości, podyktował mu i w tym razie najstosowniejsze kroki do osiągnięcia celu. Dawison zaczął od tego, że szukał znajomości między podrzędnemi osobami sceny warszawskiej. Żyjąc w ich kole, nie zdradzał się ze swoim zamiarem poświęcenia się teatrowi, ale próbował często swego talentu naśladowniczego. Nowi jego towarzysze upatrzyli wkrótce w nim przyszłego swojego kolegę i zachęcili, żeby porzuciwszy współpracownictwo przy „Gazecie“ wstąpił do teatru. Dyrektorem warszawskiego teatru „Rozmaitości“ był wówczas Dmuszewski. Przyjął on młodego ochotnika bardzo łaskawie, i zapisał go do szkoły dramatycznej, gdzie Dawison nabył obok nauki także wiele takich sposobów, przez rutynę na scenę wprowadzonych, które poźniej jego bystry umysł uznał za przywarę. Nieraz poźniej czynił uwagę, że nie

mało go to pracy kosztowało, aby się wielu rzeczy oduczyć, których się w szkole dramatycznej nauczył. Jestto nowy przykład, jak często dla wielkich talentów bywa to przeszkodą, co dla miernych jest niejako podporą; bo tamte są w stanie wytwarzać nowe prawidła, te zaś muszą się trzymać już danych. Przebywszy dwa lata w szkole, wystąpił Dawison po pierwszy raz na scenie. Posiadał on wszystkie zalety tak powierzchowne, jak i wewnętrzne na znakomitego aktora, i słuszną robi uwagę jeden z niemieckich jego biografów, że to, co mu posłużyło do zjednania pierwszorzędnego stanowiska na niemieckiej scenie, posłużyło mu na polskiej tylko do ratowania go od zupełnego zapomnienia.

Pierwsze wystąpienie Dawisona odznaczyło się zajściem wielce dramatycznem w jego domowem pożyciu. Matka jego, która była bardzo przeciwna poświęceniu się zawodowi aktorskiemu, nie chciała synowi tego pokazać, że ją bardzo żywo obchodzi skutek jego pierwszego wystąpienia, o którem dowiedziała się tylko przypadkiem, bo syn taił się z tem przed nią. Zdarzyło się tedy, że syn w tajemnicy przed matką stawał na deskach, podczas gdy matka w tajemnicy przed synem przełamała przesąd i poszła pierwszy raz w życiu, w sędziwym wieku swoim do teatru. — Byłaby ona zapewne dostała wstęp bezpłatny, gdyby tego zażądała od syna, lecz chcąc zachować tajemnicę, kupiła z oszczędzonego grosza bilet na galeryą. Ażeby otrzymać dobre miejsce, pospieszyła wcześnie do teatru, który jeszcze nie był oświetlony, i przełażąc przez poręcze szukała miejsca w pierwszym rzędzie ławek. W ciemnocie i nie obeznana z miejscowością, przelazła przez ostatnią poręcz i spadła z czwartego piętra na parter, łamiąc obie nogi. Kortyna nie była jeszcze podniesiona, a syn był właśnie na scenie, kiedy usłyszał z parteru okropny krzyk i szmer między zgromadzonymi tam widzami. Jakieś przeczucie szeptało Dawisonowi, że coś zaszło, co go mocno obejść może; nadaremnie starał się dopatrzeć przez szpary zasłony, co się dzieje między widzami; chciał pobiedz na parter, ale reżyszer zawołał na niego, aby poszedł do garderoby ubrać się do przedstawienia. Dowiedział się tylko tyle, że jakaś staruszka spadła z galeryi. Przez cały czas gry brzmiał mu w uszach ten okrzyk, który go tak uderzył przed przedstawieniem. I po odegraniu sztuki nie miał nic innego na myśli, jak tylko pospieszyć do domu, aby ujrzeć matkę. — Wychodząc jednakże z garderody już się dowiedział, że to ona była, co spadła z galeryi. Wypadek ten rozstrzygnął o jego losie. Matka potrzebowała kosztownej i długiej kuracyi. Dawisonowi nastręczyły się z dwóch stron propozycye, które mu się musiały wydawać bardzo korzystnemi. W skutek tego pierwszego wystąpienia ofiarowano mu w teatrze warszawskim miejsce z płacą 15 rubli miesięcznie, zaś do teatru wileńskiego wzywał go tamtejszy dyrektor Schmidtkow, obiecując mu 11 dukatów miesięcznie. Trudny był wybór dla ambitnego młodzieńca między posadą przy pierwszym polskim teatrze, a zyskowną propozycyą Schmidtkowa. Nieszczęśliwy przypadek wymagał bardziej popłatnej posady, i Dawison pojechał do Wilna. Na scenie wileńskiej objawił się talent Dawisona świetnie i stał się wkrótce podporą tej sceny. Jak zwykle na scenach prowincyonalnych musiał Dawison grywać role wszelkiego rodzaju, a gdy we wszystkich zjednywał sobie oklaski, zdawało mu się po rozwiązaniu trupy wileńskiej, że powinien znaleźć dobre przyjęcie w Warszawie. Gdy jednak dyrektor Dmuszewski nie chciał słyszeć o żadnych układach z Dawisonem, udał on się do Lwowa, gdzie właśnie Skarbek był otworzył swój teatr. Tu mieliśmy sposobność osobiście go poznać i ocenić talent jego, który chociaż nie występował wtedy w takim blasku, jakim poźniej Dawison jaśniał, to jednak prorokował niejedne nadzieje na przyszłość. Bezstronna krytyka upatrywała w młodym Dawisonie godnego następcę naszych Nestorów sceny, po których nie mogliśmy się spodziewać dłuższego działania. Właśnie jednakże ta okoliczność pobudziła przeciwko młodemu Terentowi zazdrość niektórych starszych aktorów, a usłużne pióra recenzentów, zostających w bliskich stosunkach z tymi aktorami, rzuciły się z niesłychaną namiętnością na młodego artystę i umiały nawet pobudzić przeciwko niemu część publiczności tak dalece, że przychodziło do scen gwałtownych. Skarbek wszelako umiał się poznać na zdolnościach Dawisona i oddał mu reżyszerstwo, co wzbudziło jeszcze większą zazdrość w starszych artystach. Dziennikarstwo ograniczało się wówczas we Lwowie na dwóch pismach: urzędowej gazecie Lwowskiej i Dzienniku mód paryskich. W obudwu tych pismach umieli sobie zazdrośni na sukcesa Dawisona starsi artyści zjednać przychylne pióra, które z wielką często goryczą przeciwko niemu występowały. Miał wtedy Dawison jeszcze wiele wad, których się poźniej pozbył, i był dalekim od tej doskonałości, której potem nabył. Pomimo tego bywała krytyka po większej części niesprawiedliwą względem Dawisona, i przypominamy sobie tylko jednę z ówczesnych recenzyi, która widać była słuszną, chociaż ganiącą, bo się zgadza zupełnie ze zdaniem niemieckich krytyków, objawionem już wtedy, kiedy Dawison stanął u szczytu swojej doskonałości. W r. 1841 zarzucano Dawisonowi w dodatku do Gazety Lwowskiej, z okazyi jego wystąpienia w „Szklance Wody“ Scribe'go, brak gracyi, graniastość ruchów i szorstkość wymowy. Była to rola kochanka, do której Dawison nie miał nigdy szczególnej zdolności. Zarzuty dopiero wspomnione znajdziemy prawie dosłownie powtórzone w r. 1871 we wspomnieniach o Dawisonie, któremi zasypały publiczność dzienniki niemieckie z powodu jego śmierci, mianowicie że kiedy Dawison porzuciwszy scenę polską pojawił się na niemieckiej,

cechowały go obok silnej i rozrosłej budowy ciała „stanowczy brak gracyi w ułożeniu, graniaste ruchy i szorstki organ.“ Owa recencya w Lwowskiej Gazecie była jedną z pierwszych młodocianych prób pióra, które kreśli niniejszy życiorys. Może więc autor ówczesnej recenzyi a niniejszej pracy przyznać sobie, że nie należał do zgrai owych szczwaczy, którzy niesłusznemi i pełnemi nienawiści zaczepkami wyparli Dawisona ze sceny polskiej.

Lwowskiemu dziennikarstwu należy się ta smutna zasługa, że popchnęło Dawisona na obcą ale szerszą widownię, gdzie mógł zdobyć sobie i zdobył światową wziętość.

Wydoskonaliwszy się w języku niemieckim przez czytanie arcydzieł dramatycznych niemieckich i obcowanie z aktorami niemieckimi lwowskiego teatru, posiadając oprócz tego dokładnie język francuzki, postanowił Dawison odbyć podróż przez Francyą i Niemcy celem poznania najlepszych scen i aktorów, a przeto wydoskonalenia się w swoim zawodzie. Skarbek udzielił mu środków ku temu, a Dawison poznał najznakomitszych ówczesnych artystów dramatycznych: Bouffégo, Fryderyka le Maître i Samsona; odwiedził także najznakomitsze szkoły dramatyczne i powrócił z tej podróży z przeświadczeniem, że w sztuce dramatycznej należy nowe drogi torować. Poczuł w sobie powołanie do tego, a gdy na polskiej scenie natrafiał w tej mierze na nieprzyzwyciężone przeszkody i nie spodziewał się uzyskać żadnego uznania, więc zwrócił się ku niemieckiej scenie. W teatrze niemieckim wystąpił Dawison po raz pierwszy we Lwowie, w komedyi Bauernfelda, pod tytułem „Ostatnia przygoda.“ Nie porzucił on wprawdzie polskiego teatru, ale krok ten był stanowczy. Położenie jego wobec krytyki i publiczności polskiej stawało się coraz nieznośniejszem.—Niemcy przyjęli go z wielką uprzejmością i zachęcali do opuszczenia polskiej sceny a udania się do Niemiec, gdzie jak go zapewniał nowo pozyskany przyjaciel Barry, po dwóch latach nędzy mógł się spodziewać najlepszego powodzenia. Skarbek nie chciał się rozstać z Dawisonem, opuścił tenże więc Lwów tajemnie i udał się najpierwej do Wrocławia. Dawison był tak pewnym swego powodzenia na niemieckiej scenie, że przy pożegnaniu z Wandą Starzewską, narzeczną swoją, córką znanych we Lwowie aktorów, upewniał ją, że okryty chwałą powróci, aby ją poślubić. Tak się też stało. Początek był trudny — w Wrocławiu nie przyjęto go. W Oławie, Brzegu, Szczecinie i innych pomniejszych teatrach niemieckich spotykała go wszędzie ta sama odmowa. Za przybyciem do Berlina wywichnął nadto nogę i musiał cztery miesiące leżeć w szpitalu.

Niezrażony dotychczasowem niepowodzeniem szukał Dawison, skoro tylko przyszedł do zdrowia, w Berlinie samem szczęścia. Ludwik Schneider zwrócił był właśnie w osobnym artykule o dramatycznej szkole warszawskiej uwagę niemieckiej publiczności na tę szkołę. Dawison przedstawił mu się jako uczeń szkoły warszawskiej i doznał bardzo dobrego przyjęcia. Schneider zajął się Dawisonem, zbadał i uznał jego zdolności, zważywszy jednak, że na berlińskiej scenie nie było dla niego widoków w obec panujących tam okoliczności, polecił go przyjacielowi swojemu Maurice w Hamburgu, który zakładał tam właśnie teatr nowy okok dawnego miejskiego.

W Hamburgu, w tej kolebce sztuki dramatycznej, tam gdzie twórca tejże dla Niemiec, Lessing, zbierał pierwsze w swoim rodzaju wawrzyny, tam zajaśniała dla Dawisona gwiazda sławy i szczęścia. W przeciągu czternastu dni po pierwszem wystąpieniu nie mówiono w całym Hamburgu o nikim innym, jak tylko o Dawisonie. Jeden z ówczesnych dzienników wyraził się o nim w ten sposób: „Kilku młodszych marzących poetów upatrzyło zaraz geniusza; boski instynkt w publiczności, która była zrazu nieświadomą, co ma sądzić o nowem zjawisku, następnie zdziwioną a ostatecznie zelektryzowaną do najwyższego zapału, przeczuła w nim toż samo; tylko kilku starych krytyków i recenzentów sprzeczało się przechadzając się po kurytarzach, czy nowy gość ma talent lub nie.“ Tymczasem praktyczny i pewny swego dyrektor Maurice, zamówił go do trzydziestu dwóch ról gościnnych. Było to w lutym r. 1847. W rok potem przyjechał Dawison do Lwowa, aby stosownie do przyrzeczenia danego swojej narzeczonej, okryty sławą i mając zapewniony dobry byt, pojąć ją za żonę. Zapraszano go do Berlina i Drezna, ale Dawison nie przyjął zaprosin, aż gdy go wezwano do teatru nadwornego do Wiednia. W Wiedniu był właśnie objął Henryk Laube artystyczną dyrekcyą teatru; wymagania Dawisona wydawały się przesadzone; jednak Laube oświadczył hr. Lanckorońskiemu, który jako najwyższy podkomorzy był z urzędu swego najwyższym intendantem teatru nadwornego, że scena burgteatru nie może się obyć bez Dawisona. Dziwiło to, że Dawison, jak zachwycał publiczność w rolach gościnnych, tak występując w rolach obowiązkowych, nie podobał się zrazu. Szczególnie działały na Wiedeńczyków, uganiających za śmiesznością, niepomyślnie niektóre przyzwyczajenia Dawisona, rażące nieestetycznością. Tak opowiadają, że w „Juliuszu Cezarze“, w jednej z najdrażliwszych scen, gdzie Dawison jako Antoniusz stał nad trupem Cezara, palnął w zapale w taki sposób Cezara po brzuchu, że Anschütz, mający udawać zmarłego, drgnął mimowolnie, a cała publiczność wybuchła homerycznym śmiechem. Pomimo tych małych niepowodzeń i rozmaitych intryg tak ze strony zazdrośnych współzawodników, jakoteż niektórych nieprzyjaźnych mu recenzentów, pozostał Dawison niezachwianym na szczycie raz osiągniętej sławy. Nie można tego zaprzeczyć, że to powodzenie wbijało go w nadzwyczajne zarozumienie,

a z tego powodu bywał on przesadnie wymagającym, tak co do wynagrodzenia pieniężnego, jakoteż co do wyboru ról. Płaca 7.500 złr. rocznie wydawała mu się za małą, a w wyborze ról miewał częste sprzeczki z dyrekcyą, której nie chciał przyznawać prawa przeznaczania ich aktorom wedle swojego zdania. Wreszcie gdy po rolach gościnnych w Dreźnie i Monachium powrócił do Wiednia, zepsuty pochwałami dziennikarstwa i zachwytem publiczności, wydała mu się publiczność wiedeńska, również jak krytyka tamtejsza zbyt chłodną i niesprawiedliwą. Otrzymawszy w takiem usposobieniu od intendantury teatru w Dreźnie bardzo korzystne wezwanie, postanowił on porzucić Wiedeń, ale ani hr. Lanckoroński, ani Laube nie chcieli na to zezwolić. Dawison uciekł się do gwałtowności, którą już nie zezwolenie do opuszczenia, ale zakaz pojawiania się na scenie wymógł na Lanckorońskim. Z przejściem Dawisona na scenę drezdeńską poczyna się peryod właściwej światowej jego sławy; mając bowiem pięć miesięcy wakacyi w każdym roku, używał takowych do występowania na wszystkich pierwszych scenach Europy i Ameryki. W miastach, gdzie publiczność nie rozumiała języka Dawisona, wzbudzał on przecież przez swoję mimikę i deklamacyą burze oklasków w publiczności. Nie będziemy się wdawali w szczegóły tego peryodu życia Dawisona, ponieważ przedmiot jest dla nas obcy pod względem narodowym, a gdybyśmy chcieli żywot artystyczny jego oceniać pod względem estetycznym, musielibyśmy całą książkę spisać. Zadowolimy się tylko powtórzeniem zdania jednego z naszych celniejszych dramaturgów i estetyków, Antoniego Małeckiego, któreśmy z jego własnych ust słyszeli. Czytając i widząc nieraz na scenie Göthego „Klavigo“, nie mógł Małecki nigdy dopatrzéć w tym dramacie, a szczególniej w głównej jego roli, onych zalet wielkich, jakiemi cechują się inne dramatyczne prace Göthego. Nie mógł go, jak to się zwykle mówi, „zrozumieć.“ Dopiero gdy widział na scenie w Monachium Dawisona w roli Klaviga, rozjaśnił mu się charakter tej osobistości, przeczytał nanowo „Klaviga“ i już go odtąd rozumiał.

Pomimo niezmiernej sławy i całego chóru pochwał, jakiemi brzmiało przeważne dziennikarstwo niemieckie o Dawisonie, byli między krytykami i tacy, którzy mu nie przyznawali żadnych zalet i stali w zupełnej sprzeczności z opinią publiczną. Już to samo dowodzi niepospolitości talentu Dawisona, bo nie byłoby sprzeczki, gdyby przedmiot nie był godnym tego, aby się o niego sprzeczać. Sprawiedliwa krytyka stanęła po środku, i nie odmawiając Dawisonowi wynalazczego, genialnego talentu, nie pozostała ona ślepą na jego błędy i wady, od których żadna ludzka doskonałość nie jest wolną.

Niezmierna czynność i grywanie prawie bez wypoczynku na scenach rozmaitych, a przytem drażliwość i ustawiczna walka umysłowa, stargała prędko siły tego niepospolitego człowieka. Nie mało przyczyniła się do tego śmierć żony, którą utracił w r. 1859, a po której do końca życia nosił żałobę w sercu. Po przeszło dwudziestoletniej działalności w r. 1868 zaczął się dawać czuć upadek umysłowy, opuszczała go pamięć jego, która wbrew zwyczajowi innych aktorów nigdy suflera nie potrzebowała, i choroba wzmagała się do tego stopnia, że Dawison musiał odmówić najświetniejszym zaproszeniom do Wiednia (gdzie mu ofiarowano za peryod półroczny 45.000 złr.), Petersburga, Pragi, Pesztu, Berlina, Lipska, Hanoweru i Drezna. Dawison musiał pozostać w domu, usunąć się zupełnie od sceny, a niedługo stracił zupełnie świadomość tego, co czynił i co się około niego działo, w którym to stanie zostając przez parę lat, skończył na dniu 1. lutego 1872 swój żywot pełen czynu i sławy.

Słusznie możemy twierdzić i z chlubą to powtarzać, że Polska dostarczyła w Dawisonie światu jednego z pierwszorzędnych artystów dramatycznych. Jakkolwiek bowiem sławę, jaką sobie zjednał, zawdzięczał Dawison niemieckiej scenie, to jednak łączyły go nietylko pochodzenie, wychowanie i pierwsze wykształcenie w swoim zawodzie, nareszcie przez ożenienie się i węzeł rodzinny z Polską, ale uznawał on się sam zawsze za Polaka, nie stracił wrodzonego przywiązania do swojej ojczyzny, a wskutek tego nie śmiał mu żaden cudzoziemiec zaprzeczyć, że jest Polakiem. Owszem recenzenci i krytycy przypisywali niejeden z jego przymiotów tylko temu, że był Polakiem; jeden pisze, że odznaczał się w obejściu z ludźmi godnością, cechującą każdego wykształconego Polaka; inny Kajetan Cerri charakteryzuje go jako unikat pod względem elastyczności ducha, silnej woli i konsekwencyi w postanowieniach, a dodaje niejako dla umotywowania tych przymiotów: „był Polakiem z rodu.“ Tak więc we własnem przeświadczeniu jak i w przekonaniu obcych był Dawison Polakiem, i dlatego winien być zapisany w rocznikach naszych dziejów artystycznych do rzędu tych, którzy podnieśli świetność naszego narodu.

K. Widman.

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

X.

Szczawnica.

Jeżeli którekolwiek ze zdrojowisk ojczystysh uposażone zostało w bogactwa dobroczynnej przyrody, to zaiste żadne więcej nad Szczawnicę. Rozliczne a arcyskuteczne jej zdroje mineralne, przepyszna alpejska natura, najwspanialsze górskie widoki, najinteresowniejsze bogactwo flory i fauny ojczystej, obok niemałych materyałów do badań: geologicznych, orograficznych i hydrologicznych, tudzież legendy tutejszej miejscowości o ludziach wsławionych bohaterskiemi czynami, a nawet uświęcone stopą błogosławionej Kingi (Kunegundy), wszystko to robi Szczawnicę jedną z klasycznych miejscowości ukochanej naszej ziemi. Dodajmy do tego sterczące nad wspaniałym Dunajcem zamczyska Czorsztyna i Niedzicy, ową niby tryumfalną bramę, którą wstępuje Dunajec w przepyszne grono tutejszych gór Pioninami zwanych, tej prawdziwej Szwajcaryi polskiej, a nie będziemy się dziwić, iż Szczawnica oddawna zajmowała wyobraźnię bardzo wielu poetów i pisarzy naszych, iż ktokolwiek aby raz jeden widział Szczawnicę, ten ją jeżeli nie pokochał, to niezawodnie nie łatwo z pamięci swej uronił.

Z którejkolwiek strony zbliżysz się do Szczawnicy, czyli to od strony Węgier czy od Galicyi, wszędzie napotkasz czarujące widoki górskie, a wszystko, co ci pod oczy podpadnie, musi cię zająć nowością i urokiem, bo to klasyczna pod każdym względem miejscowość. Cztery drogi niby ze czterech stron świata wiodą do Szczawnicy, a wszystkich wspólnym węzłem jest miasteczko Krościenko. Z Krakowa w kierunku na Mogilany, Myślenice, Nowytarg, Czorsztyn i Krościenko jechać można do Szczawnicy dyliżansem pocztowym, codziennie w czasie pory zdrojowej z Krakowa odjeżdżającym.

Na północnej pochyłości naszych uroczystych Beskidów, w obwodzie Sądeckim, tak bogatym w zdroje lecznicze, w obrębie doliny Dunajca, a tuż przy samej granicy Węgier znajduje się wieś Szczawnica, dawniej do starostwa Czorsztyńskiego należąca, w r. 1811 po śmierci ostatniego starosty Józefa hr. Potockiego przeszła na własność Skarbu Państwa, a w r. 1828 przez Stefana Szalaya (ojca dzisiejszego jej właściciela) na własność nabyta, przez ocembrowanie jej źródeł mineralnych i wystawienie budynków dla gości stała się publicznem zdrojowiskiem. Ten zatem mąż położył węgielny kamień i dał początek tutejszemu zakładowi zdrojowemu.

Co ojciec rozpoczął, to jego syn Józef, od r. 1833 obecny właściciel Szczawnicy, umiejętnie i gorliwie dalej prowadził; a gdy zważymy, iż w miejsce 2 źródeł mineralnych, nowowykrytych i wspaniale urządzonych 7 ich posiada, iż w miejsce 19 lichych pokojów mieszkalnych, po ojcu odziedziczonych, dzisiaj w wytwornych własnych zabudowaniach 150 pomieszkań liczy; gdy dodamy, iż obok tego przysporzył Szczawnicy filialny zakład o 40 pokojach, w attynencyi Szczawnickiej, Miodziusiem zwanej, rozłożony; iż z nędznej górskiej wioszczyny przemienił swą posiadłość we wspaniałą osadę, kilkaset schludnych pomieszkań nawet u włościan dla gości dostarczającą, że z nieprzystępnej, opuszczonej i skromnej sadyby uczynił wspaniałą wieś z najwyraźniejszemi oznakami kultury i cywilizacyi; że w miejscu do niedawna niedostępnem, szumem odwiecznych lasów otoczonem, a na którego glebie znojem zroszonej zaledwo sucha kiść nędznego owsa wyrasta, gdzie ubogiego podhalana biedna krówka lub parę owiec całe dawniej bogactwo stanowiły, dziś już z murowanego jego domostwa zamożność i dobrobyt się przebijają: — przyznać należy, iż dzisiejszy jej właściciel inteligencyą i niezmordowaną swoją pracowitością dobrze się krajowi i ludzkości zasłużył, osiągnąwszy w dani powszechne a wdzięczne uznanie, złote owoce swych niezmordowanych zabiegów, swych najszczerszych ofiar z talentu i pracy, jakich nie poskąpił w ciągu wieloletniego Szczawnicy posiadania.

Wprawdzie rozgłos a wziętość, jakiego Szczawnica u publiczności tak w kraju i za jego granicami doznaje, wiara i zaufanie w skuteczność jej wód mineralnych, corocznie do 2.000 osób na miejsce sprowadzające, ogromny bo do 15.000 flaszek jej wód coroczny wywóz darzą złotą nagrodą jej właściciela, ale zarazem niezbitym staje się dowodem, iż skarby naszej ukochanej ziemi chleb i uznanie każdemu rokują, byle je serdecznie umiłował, a umiejętnie i wytrwale im się poświęcił.

Położenie Szczawnicy jest jednem z najpiękniejszych i najbardziej urozmaiconych, jakie w całym naszym kraju napotkać możemy. Niezmierzona dolina Dunajca tu się poczyna; otoczona zielonym wieńcem gór, tworzy ona niby dno odwiecznego jeziora, przechodząc zwolna w przepyszną dolinę nowotarską, jednę z najbujniejszych i najrozleglejszych naszych równin, którą okalają wysoko w niebo sterczące majestatyczne Tatry, z olbrzymiemi swemi skałami, ze sławnem swem Morskiem okiem i z najpyszniejszemi szczytami wiecznie ośnieżonychTurni; wspaniałe pomniki minionych stuleci: zamczyska Czorsztyna i Niedzicy strzegą niby rozhukanych wód dzikiego Dunajca, a kamienne stróże jego niepowstrzymanych nurtów sławne Pioniny, są najpyszniejszą koroną tutejszych dzieł

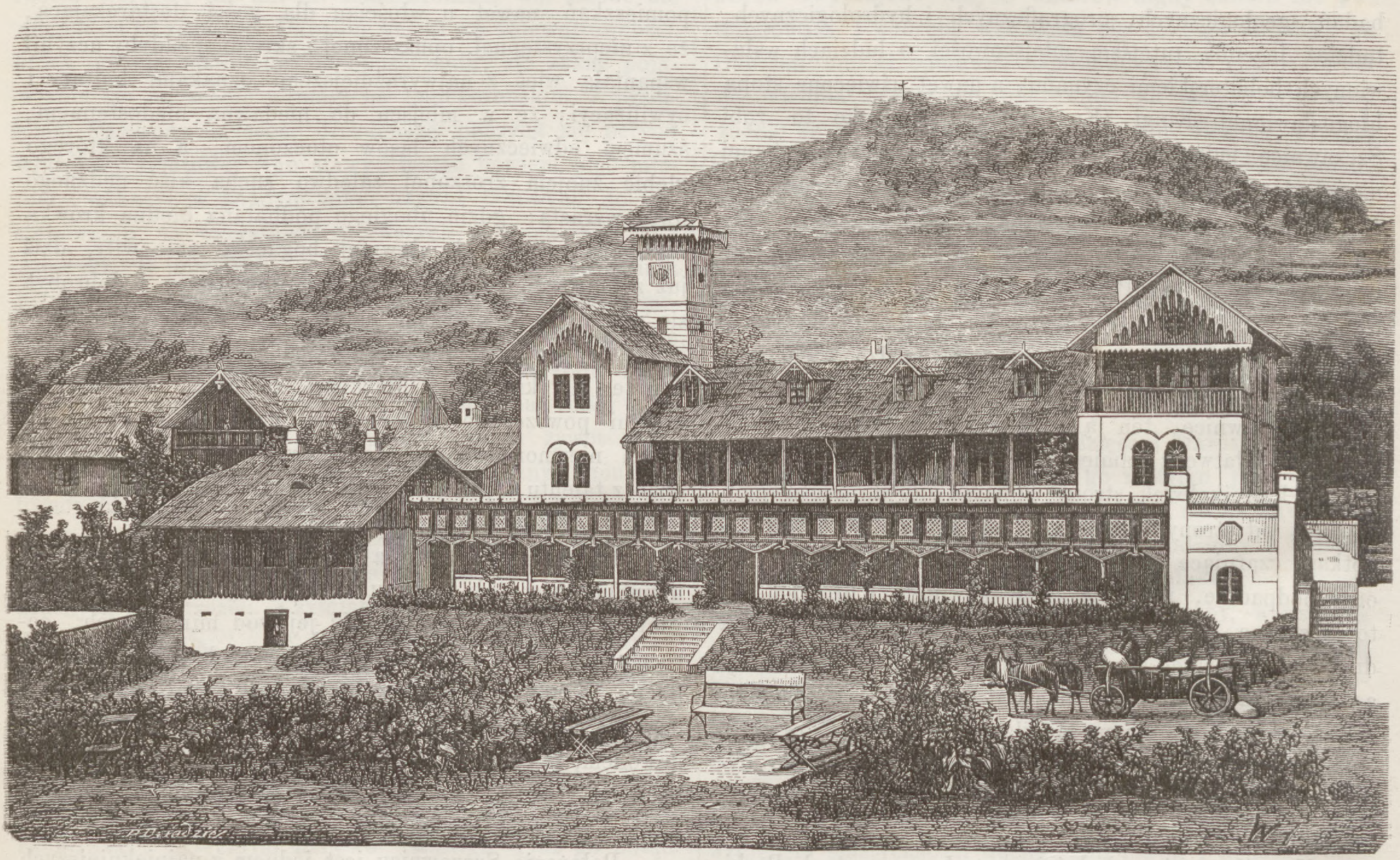
Stwórcy. Wśród ich kilkomilowego wąwozu utorował sobie drogę huczący Dunajec. Malownicze grupy olbrzymio piętrzących się ich skał, strome ich urwiska, bezdenno otchłanie i przepaście, przybierające najpotworniejsze kształty i zakręty, obok najpowabniejszych dolin i niw, a umajonych wiecznie zieleniącym się lasem, przejmują swą okazałością, zdumiewają i olśniewają swą postacią każdego z podróżnych.

Na lekkich łodziach, wśród tysiącznie odbitego echa od strzału moździerzy i wesołych piosenek górali, po kilkogodzinnej podróży przybywa się Dunajcem do Szczawnicy.

1000⁰ nad powierzchnią morza wzniesione. Dolina źródłowa wązka, około 600⁰ długa, niemal lejkowata, okolona jest grzbietami gór, z których najwyższa i najszególniejsza już poprzednio wspomniana Świątkówka; położenie zatem samej doliny źródłowej, a z nią i zakładu zdrojowego zwanego wyżnim, jest zabezpieczone od wiatrów i burz; jednak nie uchyla powodu do rannej i wieczornej mgły, a duszących upałów w letniej porze.

Obok powyżej nadmienionego zakładu wyżniego, jest w Szczawnicy filialny zakład zdrojowo-kąpielny niżny czyli na Miodziusiu.

W zakładzie wyżnim, stanowiącym główne zdrojo-



Łazienki w Szczawnicy.

W Szczawnicy i jej najbliższych okolicach kończy się odwieczna walka żywiołów: ognia i wody, która właściwie wydała wspaniałe utwory tatrzańskiego świata. Szczawnica podzieliła się utworami obu tych żywiołów; obok formacyi neptunicznej, główne jądro tutejszej miejscowości stanowiącej, przedziera się tutaj w wielu miejscach i to w wielkich massach, stanowiących szczyty gór Świątkówki i Bryjarki, formacya plutoniczna t. j. trachit, a z południowego podnóża tych skał tryszczą źródła mineralne szczawnickie.

Leżą one w obszernej głęboko zaciętej kotlinie, między wsią Szczawnicą wyżnią i niżnią, około

wisko, znajdują się źródła mineralne: Józefiny, Szczepana, Magdaleny i Waleryi, tudzież najliczniejsze (16) budynki mieszkalne i gościnne; w zakładzie zaś niżnim znachodzimy zdroje: Anieli, Heleny (teraz Wandy) i Szymona, tudzież 5 budynków, z których 4 są mieszkaniami dla gości, a 1 łazienkami.

Do znakomitszych budynków mieszkalnych zakładu wyżniego należą: dom nad zdrojami, Holenderka, Szwajcarka, dom Bogarodzica, Pałac, Zamek, dom kawalerski, dom restauracyjny, domy Brat i Siostra, Horwatówka, tudzież domy pp. Garana, Dr. Trembeckiego i Dr. Doskowskiego.

W zakładzie niżnim znajdują się następujące zabudowania: Gospoda warszawska, Leonówka, Szwajcarka i Barak, tudzież łazienki.

Wszakże i w samej wsi Szczawnicy mnóstwo jest domów wiejskich, na mieszkania dla gości znośnie urządzonych, a między temi celują: dom Dr. Krydy, dom na probostwie, p. Noworyty, na Skałce, nareszcie ujmujący dom właściciela Pawilonem zwany, w uroczym ogródku dworskim położony.

Wązka dolina zdrojowa, owe podścielisko zakładu wyżniego, od wschodu ku zachodowi ciągnąca się, przerznięta wzdłuż strumieniem, Szczawny potok zwanym, przedstawia obszerny, gustownie założony park, przyozdobiony chodnikami, murawą, grupami drzew, szwajcarskiemi domkami i prześliczną kapliczką zakładu. Tuż na wstępie znajduje się dom gościnny, zawierający salę jadalną, do tańca, bilardową i pokoje gościnne, a obok niego dom kawalerski, dalej Zamek, Pałac a za niemi dom nad zdrojami, które jako najważniejsze naprzód poznaćby nam należało.

Siedm tutejszych zdrojów, z których 4 u południowego podnóża Świątkówki w samym zakładzie wyżnim się znajduje, noszą nazwy: Józefiny, Szczepana, Magdaleny i Waleryi, 3 zaś ochrzczone mianem: Anieli, Heleny (teraz Wandy) i Szymona znajdują się na północnej stronie tejże trachitowej góry, po za obrębem doliny zdrojowej, stanowiąc zakład filialny czyli niżni albo na Miodziusiu.

Pierwsze źródło Józefiny, najdawniejsze ze szczawnickich, noszące u ludu nazwę Szczawy, nadało zapewne nazwisko samej wsi Szczawnicy. Opatrzone w kamienną oprawę na 2 stóp szeroką a 4 stóp głęboką, mieści się we właściwem zabudowaniu, znanem pod imieniem „dom nad zdrojami.“ Woda jego bez żadnego zapachu, krystalicznie przeźroczysta, wiele gazu węglowego zawierająca, ma smak słono-kwaskowaty, nieco szczypiący ale nader przyjemny.

Drugi zdrój Szczepana, na cześć ojca dzisiejszego właściciela jego imieniem ochrzczony, mieści się w poprzednio wzmiankowanym domu nad zdrojami, w 2 stóp szeroką, a 1 ½ głęboką cembrzynę ujęty, i jest najokwitszem ze źródeł szczawnickich, gdyż pomimo ciągłego czerpania, achowuje stan swej wody prawie bez żadnej zmiany. Smak jego wody niemal taki sam, jak zdroju Józefiny, lubo cokolwiek słońsza.

W odległości 200 kroków, w kierunku południowo-wschodnim od źródeł Józefiny i Szczepana, jest trzeci zdrój Magdaleny, powstały dopiero 1839 r. za poradą bawiącego tam Prf. Dr. Brodowicza, którego baczności nie uszła skuteczność wód tutejszych. Ze wszystkich tutejszych zdrojów, woda jego najmocniej ulega zmianom, przez wpływy atmosferyczne wywołanym. W smaku jest ona najbardziej ze wszystkich słona.

Czwartem źródłem jest zdrój Waleryi, w sztucznej pieczarze umieszczony, w ocembrowaniu 18 cali głębokiem. Tutejszy lekarz zdrojowy Dr. Trembecki najpierwej w r. 1853 zwrócił na niego swoję uwagę, doznając jego skuteczności w leczeniu wólów, co następne badania chemiczne Prf. Czyrniańskiego pod względem jodu i bromu w tej wodzie zawartego uzasadniły.

Dwa następne zdroje Anieli i Heleny (teraz Wandy), znajdujące się w zakładzie niźnim, skąpo dostarczają słono-kwaskowatej wody.

Ostatni zdrój Szymona, nad ujściem Szczawnego do ruskiego potoku będący, dostarcza wody krystalicznie przeźroczystej słono-kwaskowatego, nieco ściągającego, niby atramentowego smaku, tworząc znaczny osad rdzawo-żelezisty na dnie i bokach swojej cembrzyny.

Wszystkie tutejsze zdroje zawierają bezwyjątkowo jako najgłówniejsze swe składniki węglany alkaliczne, to jest: sodowy (od 8 do 45 granów na 1 funt wody), wapniowy i magnezyowy, nadto chlorki: sodu (od 6 do 24 granów na 1 funt wody) i potassu, tudzież kwas węglowy wolny (od 9 do 15 granów na 1 funt wody.)

Są to zatem szczawy słono-alkaliczne, najpodobniejsze do wód Gleichenbergskich lub Salzbrunnskich.

Z tych: zdrój Szczepana i
„ Józefiny są szczawami słono-sodowemi,
„ Waleryi,
„ Anieli i
„ Heleny (teraz Wandy) są źródłami litowo-słono-sodowemi, zdrój zaś Magdaleny jest silną słono-sodową szczawą, jod i brom zawierającą.

Zdrój Szymona jest słabą szczawą żelezisto-słono-sodową.

Do wyróżniających a korzystnych znamion wód szczawnickich wogóle należy ilość żelaza, w 1 funcie tych wód od $1/8$ do $1/12$ grana znachodząca się, wystarczająca w połączeniu z wielką ilością wolnego gazu węglowego, a w braku soli przeczyszczających, do rozwinięcia arcyważnych a tak pożądanych skutków tegoż pierwiastku w naszym ustroju.

Wody szczawnickie wielokrotnie były już chemicznie rozbierane. Jeszcze w r. 1823 Józef Sawiczewski, prof Uniwers. Jagielloń., pierwszy zajmował się ich chemicznem zbadaniem; następnie Fonberg i Mianowski, obaj Prf. Uniwersytetu Wileńskiego, już w 1828 ogłosili w „Dzienniku Wileńskim“ rozbiór chemiczny tutejszych wód mineralnych. Wszakże scyentyficznej analizy wód szczawnickich dostarczył najpierwszy w r. 1840 tyle na polu balneologii krajowej zasłużony Teodor Torosiewicz, opisawszy swoję pracę w Buchnera Repertorium (für Pharmacie T. 71). Po nim niemniej dla hydrochemii ojczystej zasług mający A. Alexandrowicz w r. 1856 zajmował się analizą zdrojów Szymona i Waleryi,

a na koniec w pracach swych analitycznych arcyścisły a sumienny badacz, Pr. Dr. Alex. Stopczański, wszystkie 7 zdrojów szczawnickich chemicznie rozebrał i w r. 1864 wynik tej pracy drukiem ogłosił. Odtąd dokładnie znamy bogactwo składników (od 37 do 104 granów na 1 funt wody) zawartych w rozmaitych zdrojach szczawnickich.

Ważność przedmiotu, jakiego pod każdym względem dla nauk przyrodzonych Szczawnica dostarcza, wywołała rozliczne jej opisy geologiczne (Zeiszner, Pousch), hydrochemiczne (Sawiczewski, Fonberg, Mianowski, Torosiewicz, Alexandrowicz, Stopczański i Hoft), balneoterapeutyczne (DDr. Ressig, Wotzelko, Herbich, Bulikowski, Kratter, Flechner, Zieleniewski, Ditl, Warschauer, Trembecki, Orkisz, itd.), archeologiczne (Morawski, Jerżmanowski i Łepkowski), etnograficzne (D' Lavaux, Win. Pol), pomijając milczeniem opisy belletrystyczne, jakich wszyscy niemal podróżopisarze polscy (hr. Rautenstrauch, Goszczyński, Triplin, Eliasz itp.) Szczawnicy dostarczyli. I zaiste po Krakowie i jego świętym Wawelu nie ma podobno u nas miejsca, któreby tylu je opisujących posiadało jak Szczawnica.

To też wdzięczna Szczawnica mile przechowuje w swej pamięci imiona tylu zasłużonych dla niej mężów, a na cześć swego największego dobroczyńcy Prof. Dr. Dietla wzniosła obok zdroju Waleryi pomnik, w r. 1865 uroczyście odsłonięty.

Do środków leczniczych, jakiemi na korzyść swych gości Szczawnica rozporządza, należą:

1) zdroje jej mineralne,

2) kąpiele mineralne w zakładzie niźnim,

3) żętyca,

4) kąpiele rzeczne w Dunajcu i w tak zwanym ruskim potoku,

5) wyborne alpejskie powietrze, ten zbawczy nektar dla chorych na niemoce piersiowe.

Do chorób, które w wodach szczawnickich znajdują niezaprzeczenie środek leczący, należą: nieżyty długotrwałe oskrzeli (katary płucne), nieżyty żołądka i jelit tudzież dróg moczowych, przewłoczne zapalenia płuc i ich błon okalających, zabójcza gruźlica (tuberculosis), wreszcie zołzy i cierpienia nerwowe z wygórowaną drażliwością lub z osłabieniem połączone.

Sprawiedliwie też mówi Prf. Dr. Dietl w swem dziełku (Uwagi nad zdrojowiskami krajowemi, Kraków 1858) o Szczawnicy, „iż ona pomiędzy zdrojowiskami „Galicyi pierwsze zajmuje miejsce. Pierwszeństwo to zje„dnała sobie niezrównanie pięknem górzystem swem po„łożeniem, doświadczoną skutecznością swych wód i nie„zmordowaną gorliwością swego właściciela dla jej wzrostu i upiększenia.“

W przyjemności i rozrywki miejscowe dla swych gości Szczawnica nader bogato jest uposażona. Oprócz czytelni gazet, muzyki kąpielowej, licznych zabaw z tańcami, koncertów i tym podobnych widowisk, nastręcza Szczawnica mnóstwo przedmiotów do wycieczek w swoje bliższe i dalsze okolice, których powabem istotnie poszczycić się może, trzymając w tym względzie rzetelnie pierwszeństwo między bardzo wielu zdrojowiskami, bo rzadko gdzie indziej napotkać można tyle wspaniałych i przecudnych dzieł natury, i tyle historycznych wspomnień budzących miejscowości.

Do rzędu pierwszych należą góry: Świątkówka, Bryjarka, Jarmuta, Łaski, Wierchomla, Bereśnik, Czeluśki, lasek Sewerynówka, pieczary Aksamitki, pobliska wieś Jaworki dla zwiedzenia doliny Hamółką zwanej, tudzież pyszne grono gór Pionin, wraz z przecudną przejażdżką łodziami po Dunajcu, tylokrotnie opisywaną, o których drogi wieszcz mówi:

I czy znasz ty bracie młody
Te spienione górskie wody,
Z tym oddechem, z tym uśmiechem,
Jakim Bóg je tylko darzy,
A o których serce marzy?
Jeźliś miłość pił u zdroju
Rajskich oczu, a w przyjaźni
Poznał człeka, a lud w boju,
A skarb czysty w wyobraźni;
Jeźliś kochał, walczył, wierzył,
Poznał prawdę, stwierdził w czynach,
Przebrnął morze, świat przemierzył,
Poznaj jeszcze łódź w Pioninach.
Jak cudowna modra żmija
Hen! Dunajec się przewija,
Jak odwieczne grają dumy,
Tak tam szumią jego szumy.
Jak dwa mury w pion dwie skały;
W górze niebo, w dole woda,
Łódka szybka, jak myśl młoda,
A na łódce sternik śmiały.
Stara orłów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyn, tam Niedzica,
Nowotarska hen dolina,
Nad Tatrami łyskawica.
A tu stoi łódź u brzegu;
Góral wita cię z uśmiechem;
Nie myśl długo, skocz z pośpiechem
I płyń, bo już łódka w biegu.
Gdy cię chwycą modre tonie
I na przepaść łódka zbieży,
Silniej drgnie ci serce w łonie,
Mocniej dusza twa uwierzy:
W skarby ziemi, w skarby nieba,
W siebie, w Boga i w człowieka,
I uczujesz, że potrzeba
Wierzyć, kochać było z wieka
Ziemię, Boga i człowieka.
Modre tonie i kipiele

Gdy zagrają w koło ciebie,
Tak ci porwą duszę śmiele,
Jakbyś skrzydła miał i w niebie
Miał się oprzeć na tej łodzi,
Jakbyś w chmury z tej powodzi
Miał wylecieć z łódką społem,
Nie żeglarzem, lecz aniołem.

Prawie nikt z gości szczawnickich nie pomija zwiedzić Pionin, któreto przejażdżki bardzo wesoło i tłumnie się odbywają na lekkich łodziach Dunajcem, przy odgłosie muzyki, wśród piosenek wesołych górali i wśród tysiącznie odbijającego się odgłosu strzałów z moździerzy.

W Pioninach na niezmiernie stromej skale wznoszącej się ponad Pieńskim potokiem, znajdują się szczątki murów zamczyska św. Kunegundy. Nader trudny przystęp do tego niegdyś obwarowanego zamku dał pewnie powód do pobożnej legendy, jakoby go aniołowie zbudowali. W czasie napadu Tatarów (1259—1290 r.) ukryła się tutaj św. Kunegunda, [ksieni klasztoru starosądeckiego wraz ze siostrami swego zakonu. Tatarzy oblegli zamek, lecz według opowieści, którą i Długosz w życiorysie tej św. powtórzył, na jej prośbę tak gęsta mgła spadła, iż oblegający znaleźć go nie mogli, i tym sposobem zamek ocalał.

Do miejsc Szczawnicę otaczających, a wspomnienia wielkiej przeszłości bndzących, należą: ruiny grodu Czorsztyna i starożytny zamek Niedzicy. Obie te miejscowości przepysznie położone, Dunajec modremi swemi falami przedziela, tylko że Czorsztyn po stronie Galicyi leżący, dzisiaj już w gruzach, smutne przedstawia zwaliska, gdy Niedzica po stronie Węgier leżąca, pozostając jeszcze w dobrym stanie, zdaje się litować nad upadkiem możnego niegdyś sąsiada.

Zbudowanie zamku Czorsztyna odnosi się do najodleglejszych czasów. Stare to gniazdo Wydżgów: Schauerstein, to jest groźną skałą w najdawniejszych dziejowych źródłach zwane. Już w r. 1241 zasłynął Czorsztyn nieposlednio w historyi. Bolesław Wstydliwy przed pierwszym najazdem Mongołów zbiegł ku Węgrom, a widząc ich do Węgier dążących, zwrócił się do bezpieczniejszej, bo od wroga opuszczonej Polski, mianowicie do zamku Czorsztyna. Tam w południowej wieży, która jakby z pionowej skały wyrosła sterczy ku niebu, ukrywał się przelękniony monarcha, a posłyszawszy, że szlachta mieniąc go zginionym, do wyboru nowego pana przystępuje, wydał w 1257 z Czorsztyna dokument, zapisujący żonie swej Kunegundzie ziemię Sądecką, wynagradzając utratę jej posagu, na obronę kraju obróconego.

Wydżgowie byli dziedzicami Gródka rożnowskiego, a Zawisza Czarny miał za sobą Rożnownę tarnowską i pisał się dziedzicem na Czorsztynie. Był on pierwszym starostą spiskim, kiedy Zygmunt cesarz zjechawszy do Lubowli, ziemię spiską za 37.000 kóp groszy zastawił. Pieniądze te złożone w Niedzicy, według umowy miały być w Czorsztynie oddane.

W tym to zamku Jagiełło z senatorami przebywał, zdążając na spotkanie się z cesarzem Zygmuntem na polach Sromowieckich (wieś Sromowce między zamkiem Czorsztynem a Niedzicą leżąca), dla obopólnego porozumienia się.

Okolica tutejsza po wielekroć była widownią pożogi, łupieztw i niezliczonych krzywd, zrządzanych przez wojska obce i własne. Mongołowie, Niemcy, Węgrzy, Czesi i Morawianie (Hussyci) srodze dali się weznaki tutejszym mieszkańcom; bo Czorsztyn, Sromowce i Niedzica były punktami wytycznemi stron wojujących.

Okropności owych bojów podziśdzień tkwią w pamięci ludu, a mogiły, które pod nazwą hussyckich grobów aż po za Bardyów szeregiem leżą, wieńcząc nadteplańskie (rzeka Tepla) wzgórza, i zgroza, z jaką imię Iskry Brandysa, jednego z wodzów czeskich podanie ludowe wymawia, świadczą, jakich losów doznawali dawni tej okolicy mieszkańcy.

Władysław Warneńczyk udając się na objęcie tronu do Węgier, jakby jasna gwiazda zabłysnął krótko nad Czorsztynem, rozstając się tutaj 1440 z odprowadzającą go matką i bratem, zkąd więcej już nie wrócił.

Jan Kazimierz uchodząc przed Szwedami bawił kilka dni w Czorsztynie. Króla Stanisława Leszczyńskiego partyzanci, i konfederaci barscy, pomykali około tutejszych skał i zamków Czorsztyna a Niedzicy, by dopełnić dziejowego tutejszych okolic świadectwa.

Dopiero w r. 1811 za wyrokiem cesarza Franciszka nakazaną sprzedażą dóbr koronnych przeszedł Czorsztyn w ręce prywatne. Był on wtedy jeszcze cały, pod gątem, a sale i pokoje były mieszkalne. W poźniejszych czasach pioruny spaliły dach, a reszty zniszczenia dokonała obrzydła chciwość... i wandalizm. Panie, odpuść własnym Wandalom!!

Dr. M. Z.

Wspomnienie.

Pomnisz o luba! te słodkie rozmowy
W altance z bluszczu pod kasztanów cieniem?
Pomnisz ten wieczór cichy i różowy,
Co igrał z słonka ostatnim promieniem?

Pomnisz tę z nieba gwiazdkę spadającą,
I na jej widok twój przestrach dziecinny;
Pierwszą modlitwę „za zmarłych“ gorącą,
Co się z twej duszy uniosła niewinnej.

Pomnisz łzę pierwszą, co z ócz się polała,
Pierwszej miłości nieznane roskosze?
Pomnisz tę różę, coś wtedy zerwała?
Patrz! dotąd jeszcze na sercu ją noszę!
Pomnisz tę chwilę rajskiego zachwytu,
Gdyś w me ramiona, zdjęta uczuć dreszczem,
Upadła wtedy, a gwiazdki z błękitu
Złotym się na nas posypały deszczem?..

O słodkie chwile! wieku niepowrotny!
Coście jak drużki powiodły mię w życie!
Dziś od ołtarza odchodzę samotny;
Ja was pamiętam, wy — czy mię pomnicie?
Czy mnie pamięta ten kasztan cienisty,
On mój powiernik, i gaj i dąbrowa?
Dziś w miejsce róży mam wieniec ciernisty,
Który przeplata rószczka cyprysowa...
Dziś, próżno czekam moich dawnych gości...
Nie wrócą!... Echo huczy mi złowieszcze!
O! dni mych ułud, o pierwsza miłości,
O! luba moja! — pomnicież mię jeszcze?

Lwów 8. kwietnia 1872. Wł. Bełza.

NIESZCZĘŚLIWA.

POWIEŚĆ
PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

(CIĄG DALSZY.)

VII.

Nie byłoby nam trudno zapewne zabawić czytelnika sytuacyą panów Ignacego i Juliana. Odpalony konkurent jest już oddawna uznanym materyałem do humorystyki, a cóż dopiero dwaj odpaleni konkurenci, dwaj współzawodnicy, którzy w przeddzień jeszcze bali się jeden o drugiego, jeden w drugim widzieli szczęśliwego rywala, a nazajutrz sami spostrzegają, że niebezpieczeństwo dla nich obu było wspólne, że panna, o którą się ubiegali, miała nie jeden, ale dwa wianki grochowe do rozdania.

Byłożby to jednak litościwie pastwić się nad nieszczęściem, i pustym śmiechem żartować sobie z zawodu doświadczonego przez dwóch ludzi zacnych w każdym razie, a rozsądnych przynajmniej o tyle, o ile zakochani rozsądnymi być mogą, to jest najwyżej przez pół? Nie sądzimy. Panowie Julian i Ignacy mogą jeszcze znaleźć w życiu pocieszycielki, posiadają bowiem po temu wszelkie warunki; gdybyśmy jednak wyeksploatowali na ich niekorzyść komiczne położenie, w jakiem ich postawiła dubeltowa rekuza, gdybyśmy ich ukazali z poprzedłużanemi do niepoznania twarzami, gdybyśmy wymierzyli na stopnie i minuty kąt, pod jakim pochyliły się ich głowy: kto wie, czy nie zagrodzilibyśmy im dalszego losu, kto wie, czy niejedna czytelniczka nie powiedziałaby sobie, że nie warto być pocieszycielką takich ośmieszonych kreatur. Ci dwaj zacni ludzie nic nam nie zawinili; postępowanie ich dotychczasowe budziło w nas tylko szacunek; dla namiętności, pod której wpływem zostawali, mieliśmy nietylko pobłażanie, ale współczucie nawet; nie psujmyż im dalszej karyery i pozostawmy ich w cieniu, dopóki śmieszność, jakiej się stali ofiarą, cokolwiek się nie zapomni, a sami przenieśmy się do moracińskiego dworu, gdzie po upływie kilku miesięcy od sceny opisanej w ostatnim rozdziale zastaniemy już Stellę panią hrabiną, a nawet... rzecz zupełnie niespodziewana... panią hrabiną zaczynającą się dowiadywać, co to są... nudy.

Nudy, okropny wyraz i straszne czytelnikom naszym nasuwać musi domysły. Stella zapewne zawiodła się na swoim praktycznym ideale, kiedy w dwa miesiące ledwie po ślubie mogła już zacząć ich doświadczać. Ten oryginalny człowiek, który do jej serca i głowy wjechał przez młyn dziwnej konstrukcyi, musiał pewno w końcu miodowego miesiąca wyjechać ztamtąd jaką inszą, również dziwaczną drogą. Chłodne i rozważne wyrachowanie Stelli nie dawało w życiu gwarancyi szczęścia, panowie Julian i Ignacy zostali pomszczeni, nawet za obłąkanie biednego Klimka złośliwa Nemezys zapłaciła po swojemu ślicznej dziewczynie...

Powoli, piękna czytelniczko... jesteśmy na błędnej drodze, domysły prowadzą nas zadaleko w jakieś fantastyczne krainy... zatrzymajmy się i pozwólmy autorowi, niech nam, co rozpoczął, dopowie.

Stella została żoną hrabiego Ludwika w kilka tygodni po opisanych przez nas oświadczynach. Ponieważ oświadczyny były formalnie przyjęte, ponieważ z obu stron wola zdawała się najlepszą, należało zatem przypuszczać, że do połączenia się państwa młodych przyszło bez żadnych dalszych przeszkód i bez niczyjej opozycyi. Tak jednak nie było. Zaraz nazajutrz po oświadczynach pani Jawska stała się najgorętszą, najzapaleńszą przeciwniczką przyjętego konkurenta, w przewidywaniu, że kiedy ze Sternickim poszło tak łatwo, to jej jedynaczka mogłaby bez wielkich trudności zrobić jeszcze świetniejszą partyą. Szczęściem

dla Ludwika pani Jawska nie była wszystkiem w Gromnicach, i jej opór nie zdołał zwalić ułożonego małżeństwa. Skończyło się na tem tylko, że okrojono posag Stelli, że o jakieś kilka tysięcy mniej przeznaczono na jej wyprawę, co narzeczony przyjął z najzupełniejszą i wcale nieudawaną obojętnością, a wreszcie, że oparto się życzeniu jedynaczki, która przeprowadzając się na własne gospodarstwo chciała koniecznie wziąć ze sobą Marynię, i że po jej odjeździe rodzice nie spieszyli się wcale z odwiedzeniem jej w Moracinie.

Stella z początku nie uczuła się samotną. Dwa miesiące ubiegło jak dzień jeden szczęśliwej parze. Zapoznawanie się z nowem życiem, odkrywanie wszystkich tajników duszy męża, nowy porządek zajęć i rozrywek, a przedewszystkiem nowe, nieznane przedtem szczęście, będące w takim stosunku do upojenia hołdami wielbiącej albo zakochanej młodzieży, do tryumfów panieńskich, jak cień do przedmiotu, jak pozór do rzeczywistości, wszystko to razem przedstawiało dla Stelli przez półtrzecia miesiąca zasób rozmaitości, który był dostateczną karmią dla jej umysłu, potrzebującego urozmaicenia z zewnątrz i tak uorganizowanego, że go nie znajdował w samym sobie.

Ludwik codziennie z namiętnym zapałem powtarzał jej, że ją kocha, całe dnie przepędzał w jej towarzystwie, nie było pół doby, w którejby go z oczu straciła. Był człowiekiem pogodnego umysłu, łagodnym, ujmującym, odgadującym jej myśli, zakochanym w niej namiętnie. Wobec tych, co go otaczali, co mu służyli, co go odwiedzali i ubiegali się o jego przyjaźń, co z nim jakiekolwiek mieli stosunki, wszędzie świeciła jego wysoka wartość moralna, ze wszech stron spotykał to szczere poszanowanie, do wywalczenia którego potrzeba czegoś więcej oprócz pieniędzy i tytułu. Czyż wobec takiego towarzysza Stella mogła zapragnąć innego towarzystwa?

Mąż jej wystarczał, bo go pokochała, rodzice i przyjaciółka nie gniewali się na nią, że ich nie odwiedza, a nawet listy rzadko do nich pisuje, bo ją kochali także. Miłość zaspokaja i przebacza.

Takiem było pożycie bohaterki naszej z praktycznie wykombinowanym mężem, a że mu poezyi nie brakło, choć wolnem ono było od tytanicznych namiętności wybuchów, sądzimy, że kto ma dobrą wolę, łaskawie przyznać nam raczy.

Ale kiedy Ludwik był człowiekiem praktycznym i rozsądnym, człowiekiem kochającym kraj i pamiętającym, że oprócz rodzinnych są także obywatelskie obowiązki, Stella była rozpieszczonem dzieckiem, mającem kaprysy niezawsze do zaspokojenia możebne. Umysł Ludwika mógł snuć sam z siebie przedmioty, które go zajmowały i przywiązywały, umysł Stelli czepiał się zewnętrznych wrażeń i potrzebował ciągłego ich dostarczania. Ludwik chciał pozostawić ślad po swojem życiu, a Stella chciała żyć tylko.

Pierwsze wrażenia miłości małżeńskiej upoiły Ludwika. Zapomniał o sobie, żył z żoną. Z biegiem czasu, gdy szczęście weszło w tryb regularny, gdy wszystko, co było nowe, powtórzyło się kilkakrotnie, jak księżycowe lunacye, gdy myśl oswojona z nowym przedmiotem, który ukochała i od którego oderwać się nie mogła, zaczęła poczuwać, że bez niebezpieczeństwa utracenia swojego skarbu wzbić się może jak dawniej na szersze nieco horyzonty, Ludwik przypomniał sobie, że życie nie jest sielanką domowego szczęścia, że są w nim walki i mozoły.

Zapragnął zatem wrócić na drogę, którą szedł, nim wybrał się w swą podróż dla poznania kraju, która trwała tak krótko, a jednak wszystkie jego marzenia ziściła.

W stolicy miał być zjazd obywatelski, w celu narady nad jedną ze spraw ważnych dla kraju. Sternicki był zawsze jednym z najczynniejszych na takich zjazdach, jednym z gotowych na każde skinienie do wszelkiej obywatelskiej posługi. Od kilku miesięcy zaniedbał to i miał sobie do wyrzucenia swe zaniedbanie. Uważał je za dług święty, który spłacić było potrzeba.

Wypadało mu wyjechać na kilka dni do stolicy. Mógł zabrać żonę z sobą, czuł jednak, że tym sposobem cały czas jego padłby ofiarą koniecznych wizyt i przyjęć. Należał do tych ludzi, którzy pracę pojmują poważnie i oddają się jej całem sercem. Żona byłaby mu przeszkodą w dziele, w którem szło o przeprowadzenie myśli postępowej, to jest jednej z takich, które zwykle najtwardszą napotykają opozycyą.

Wytłumaczył to Stelli, pojęła go, zgodziła się i pozostała sama w Moranicach.

Pobyt hrabiego Ludwika w stolicy nie trwał nawet całego tygodnia, czasu tego było jednakże dosyć, żeby się pod dach moranickiego dworu zakradł ów gość nieproszony, którego z takiem zdziwieniem tam spotkaliśmy, nuda.

Ludwik nic nie wziął z sobą, wszystko zostało tak jak było, a przecież Stelli wszędzie czegoś brakowało. Spostrzegła się, że duszą wszystkiego, co ją otaczało, był on, że w harmonii szczęścia, jakiem się cieszyła, koniecznym tonem był dźwięk wymawianych przez niego wyrazów: Kocham cię, Stello!..

Brała książki z biblioteki, ale żadna nie zdołała rozpędzić chmurek, które się gromadziły na jej czole. Dziwna rzecz! ile razy on przyniósł jaką, każda była taka przyjemna, taka zajmująca! Teraz w każdej pełno rzeczy niezrozumiałych, pełno ciężkich i nudnych ustępów lub czczych i bezbarwnych obrazów...

Siadała do fortepianu... grała te same sztuki, które grywała przy nim, które on lubił, i których wykonywanie dla niego tyle sprawiało jej zadowolenia. Teraz nic... ot jakby z nut wypadały te, które przemawiały do serca.

Przyjmowała gości i dziwiła się, że te same osoby, które przy Ludwiku były miłe, wesołe, wydawały jej się

teraz sztywnemi, wykrochmalonemi, nieznośnemi... te same karykatury towarzyskie, których przyjazd w czasie bytności Ludwika bawił ją, po których odjeździe zostawało na półtygodnia materyału do pustego śmiechu, teraz przedstawiały się tak niedołężnie, tak niezgrabnie, że ją tylko rozdrażnić i rozgniewać mogły.

Służba w domu szła tak samo jak za bytności pana, onaby jednakże przysięgła, że teraz idzie najgorzej, że zakradł się najstraszliwszy nieporządek, że wszyscy się zmawiają, aby jej dokuczyć, aby każdą jej myśl wykrzywić, przeinaczyć, aby każdy jej rozkaz wykonać nie w porę.

Ludwik odjeżdżając na krótko, nic niby nie wziął z sobą, a przecież wszystkiego jej brakowało. Zwykły jej wzrok i słuch odjechał także z nim, pozostały tylko jakieś oczy, które widziały wszystko krzywo, i uszy, co słyszały źle.

Przy Ludwiku godziny upływały jej szybko; ledwie on wyjechał, zdawało jej się, że wszystkie zegary pałacu pochorowały się na podagrę i robią kroki sekundowe kulejąc.

Zaczęła myśleć, jakby na to wszystko zaradzić, i naturalnie myśl jej pobiegła aż do panieńskiego pokoiku w Gromnicach, do którego nudy nigdy nie zaglądały.

— Dlaczego tam się nie nudziłam, a tu się nudzę? — zapytała sama siebie.

Odpowiedź na to pytanie nie była trudną. Tam była rówienniczka, z którą mogła podzielić myśli, byli rodzice, tam codziennie przyjeżdżał ktoś z tych, co się o nią starali. Tutaj mąż zastąpił rodziców, rówienniczka i przyjaciele zostali nie zastąpieni.

— Potrzeba mi uzupełnić mój świat domowy, bo inaczej na śmierć się w nim zanudzę. Przedewszystkiem wezmę się zręcznie do rzeczy i wydobędę z Gromnic Marynię... a potem...

Zamyśliła się. Maryni samej nie było jej dosyć widocznie. W Gromnicach tacy zabawni byli owi konkurenci, ów systemat planetarny, który koło niej krążył jak około słońca, tyle pustego śmiechu do rozmowy z Marynią dostarczały postacie panów Ignacego i Juliana. Przydałoby się coś podobnego w moranickim pałacu, ale czyż to wypada myśleć o czem podobnem mężatce?

To też Stella myśleć o tem nie chciała i postanowiła na Maryni poprzestać.

— Sprowadzę ją tu na dni kilka tylko — mówiła do siebie — a potem zobaczymy, czy ją puszczę, jak ją mama napowrót zabrać będzie chciała.

Wyprawiła natychmiast na całą noc umyślnego posłańca do Gromnic, zaklinając przyjaciółkę, żeby nie zwlekała ani chwili i przyjechała ją rozerwać. Byłaby wyjechała sama, liczyła jednak na to, że Ludwik lada chwila może powrócić, i nie chciała, żeby jej nie zastał.

Nazajutrz około południa mogła się z całą pewnością spodziewać przyjazdu przyjaciółki, czuła jednak dokoła siebie taką czczość, bezbarwność i pustkę, że tych kilku godzin nawet wytrzymać i przeczekać nie mogła.

Dzień był prześliczny. Próbowała przechadzki po ogrodzie. Ogród moraciński słynął na okolicę. Można go było nazwać parkiem. Była to miła i urozmaicona ustroń, oddychająca najczystszem powietrzem, dźwięcząca spiewem ptasząt, bogactwem roślinności powabna. Roskoszowała się nim nieraz, używając przechadzki z mężem; w tej chwili osłonięte płaszczem cienia aleje wydały jej się zimnemi, wilgotnemi, ponuremi grotami.

Wróciła szybko do domu — mówiąc do siebie:

— Pojadę naprzeciwko Maryni.

Kazała sobie przyprowadzić konia, dosiadła go i sama jedna puściła się galopem w stronę Gromnic.

Ta przejażdżka rozerwała ją trochę, lecz nie wystarczyła na długo.

Ujechała może milę drogi, może nieco więcej, i sprzykrzył jej się jednostajny ruch konia. Jechać dalej nie miała ochoty, wracać się, znaczyło to oddalać chwilę spotkania się z przyjaciółką, na którą oczekiwała niecierpliwie.

Zatrzymała się przed karczemką położoną przy drodze, zsiadła z konia i zaczęła się rozglądać po okolicy, z którą dotychczas nie miała jeszcze sposobności bliżej i szczegółowo się zapoznać.

Cały krajobraz nie był zbyt zajmującym, jeden tylko szczegół zatrzymał dłużej jej daremnie poszukującą trwalszego zajęcia uwagę.

W dosyć znacznej odległości, w lesie po nad drzewami widać było dziwną jakąś budowę, niby wierzchołek rusztowania, którego części zwężały się ku górze, tak, że szczyt był jakby szpicem piramidy, otoczonym rodzajem wąskiego pokładu czy pomostu. Ponad tym szczytem wznosiła się jeszcze dość długa prosta żerdź, na której powiewała kolorowa szmata, niby strzęp jakiejś chorągiewki czy flagi, oddawna pozostającej na łasce wichrów i niepogód.

— Co to jest?... — zapytała przechodzącego chłopa.

— Ja nie wiem... jasna pani — odpowiedział — to ponoś coś takiego do mierzenia ziemi.

Był to rzeczywiście przyrząd do pomiarów trygonometrycznych, które przed niejakim czasem odbywano w tej części kraju, pozostawiony na czas jakiś do poźniejszego sprawdzenia dokładności porobionych obliczeń.

— Czy to daleko ztąd?

— Będzie z dziesiątek stai w las...

— Znacie tę drogę?... dobra?...

— Juści, ujdzie... proszę jasnej pani.

— Konno będę mogła przejechać?...

Prawie... o parę stai trzeba będzie zsiąść i konia przeprowadzić przez gęstwę... dalej już widać wzgórze, na którem to stoi, i droga prosta...

— Pokażcie mi którędy?...

Wieśniak wskazał kierunek.

Stella zapowiedziała w karczmie, żeby jeśli jaki powóz z Gromnic nadjedzie, zatrzymano go i powiedziano o jej bytności, a sama konno puściła się leśną drożyną.

Droga była w istocie niezła. Przez gęstwinę konia przeprowadzić nie było trudno, a po jej przebyciu ukazał się w całej okazałości odległy jeszcze znacznie piaszczysty wzgórek, na którem bez żadnej architektonicznej pretensyi zbito z desek i belek rusztowanie wysokie jak wieża niejednego wiejskiego kościoła. W pośrodku tego rusztowania belka z pozatykanemi z obu stron kołkami, stanowiła drabinę prowadzącą na szczyt.

Widok byłby w istocie wcale nie ciekawy i nie byłby bynajmniej zadowolnił znudzonej kobiety, gdyby nie to, że na tej drabinie właśnie spostrzegła pnącego się ku szczytowi człowieka.

Cały skład tej dziwnej budowy, której celu pomimo objaśnienia wieśniaka Stella dobrze wytłumaczyć sobie nie mogła, wydawał się zwłaszcza z dosyć znacznej odległości tak wątłym, drabina, po której się piął na górę ów człowiek, przedstawiała, na pozór przynajmniej, tak niepewną podstawę dla jego ciężaru, że Stella mimowolnie zadrżała i zatrzymała się zlękniona.

Zdawało jej się, że widzi, jak ten cały dziwaczny budynek chwieje się pod śmiałym ciekawcem, że jej ucha dobiega odgłos trzeszczenia belek i desek, służących za punkt oparcia wdzierającemu się coraz wyżej zuchwalcowi.

Był on do niej zwrócony twarzą, ale odległość była zbyt wielka, żeby rysy tej twarzy można było rozpoznać. Nie widziała zatem, czy był ładny czy brzydki, młody czy stary. Ubiór jednak oznajmiał człowieka należącego do wyższego towarzystwa.

— Zapewne któryś z tych jeometrów, kiedy to ma być do mierzenia ziemi — powiedziała sobie, wpatrując się w śmiałego człowieka, który już znajdował się na samym szczycie rusztowania.

U samego wierzchołka, pod ową żerdzią, na której uczepiona była chorągiew, znajdował się, jak już powiedzieliśmy, niewielki pokład z desek, podobny do tych pokładów, jakie widujemy na słupach ustawianych podczas zabaw ludowych w Warszawie. Wązki ten pokład nie był opatrzony żadną poręczą.

Nieznajomy znajdował się właśnie na tym pokładzie, wydobył z kieszeni składaną lunetę, rozsunął ją i zaczął patrzeć w jeden jakiś punkt, wyraźnie w stronie Moracina leżący.

Wpatrywał się długo, nie zmieniając obranego punktu.

Stelli aż słabo się robiło na widok człowieka, zawieszonego na takiej wysokości pomiędzy niebem i ziemią, niezabezpieczonego niczem od spadnięcia, nie trzymającego się nawet ręką owej środkowej żerdzi, której siła mogłaby mu zapewnić jakie takie bezpieczeństwo na przypadek, gdyby mu się zawróciło w głowie, jak zawracało się patrzącej na niego, choć ziemię czuła pod stopami.

Widok ten przykuł ją do miejsca. Zdawało jej się, że gdyby się poruszyła, gdyby wydała głos jaki, echo tego głosu dobiegłoby do owego człowieka w górze, który ciągle w ten sam punkt się wpatrywał, i naruszyłoby jego równowagę.

Dość długo trwała ta nieruchoma scena. Nagle, w innej stronie lasu, lecz w niezbyt wielkiej odległości od Stelli dał się słyszeć wystrzał... zapewne z dubeltówki jakiegoś okolicznego Nemroda, który urozmaicał sobie życie polowaniem.

Stella krzyknęła i zasłoniła ręką oczy, zasłonięcie to jednak nie odpędziło obrazu, który się w jej źrenicach odbił w chwili wystrzału.

Człowiek ów na górze zadrżał, zachwiał się i spadł w przepaść...

Długa chwila upłynęł a nimsię odważyła spojrzeć nanowo.

Spojrzała, i przerażenie obezwładniło ją znowu, człowieka z lunetą rzeczywiście nie było na górnym pokładzie rusztowania. Spadł z wysokości kilkudziesięciu łokci i w tej chwili pewno już nie żył...

Tym razem obezwładnienie bohaterki naszej nie trwało tak długo jak poprzednio.

— Może nie zginął, może potrzebuje ratunku — zawołała i szybko dosiadując konia, puściła się galopem ku owej fatalnej piramidzie.

W parę chwil była na miejscu.

U stóp mierniczego przyrządu spostrzegła bezwładne ciało, które spadając stoczyło się zapewne po lekkiej pochyłości jednej z głównych podpór rusztowania.

Wzgórze, na którem wybudowany był przyrząd, było piaszczyste, miękkie. Upadek, który na twardszym gruncie byłby sprowadził śmierć niechybną, tu mógł się zakończyć omdleniem tylko.

Taka myśl nasunęła się Stelli. W odpowiedź na nią spięła ostrogą konia, który w mgnieniu oka wniósł ją aż na wierzchołek wzgórza.

Zeskoczyła z siodła i za chwilę była przy nieznajomym.

Teraz dopiero poznała go.

Był to Julian...

Nie podejmujemy się opisać wrażenia, jakiego doznała Stella poznając go i odgadując w jednej chwili tajemnicę jego pobytu w tem miejscu. Dziwne połączenie śmiertelnej trwogi, żywej boleści i jakiegoś nieokreślonego, instynktowego, nieświadomego siebie uczucia tryumfu, składało się na to wrażenie, spotęgowane do najwyższego stopnia tragicznością wypadku. (Dok. nast.)

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 20. kwietnia.

(Teatr i opera. — Towarzystwo muzyczne. — Wystawa sztuk pięknych. — Nowe publikacye. — Wystawa powszechna w Wiedniu.)

Czemże możnaby rozpocząć dzisiejszą kronikę lwowską jeźli nie teatrem! Pióro kronikarza jak szpak nauczyło się w tych czasach od publiczności tego słowa i kreśli je chcąc nie chcąc na czele kartek, które dać mają obraz obecnego usposobienia, chęci i haseł umysłów, gnieżdżących się w padole u stóp idealnego kopca Unii! — Otóż: teatr — ta „nowa“ scena, ta opera polska, czarodziejskim zaiste sposobem utworzona w przeciągu kilku tygodni, niechaj będą pierwszym przedmiotem niniejszego sprawozdania.

Na wstępie do przybytku koturnowej i winogradowej muzy winniśmy z obowiązku kronikarskiego przypomnąć towarzyszącemu nam łaskawie czytelnikowi niektóre szczegóły dawniejszej wprawdzie daty, lecz odnoszące się do zawiązku i podstaw nowej sceny lwowskiej. Przypominamy tedy, że teatr Skarbkowski przeszedł w ręce Towarzystwa akcyjnego, którego akcye subskrybować można zawsze jeszcze w banku hypotecznym galicyjskim; że statuta tegoż Towarzystwa uzyskały już sankcyą rządową, wkrótce zatem nastąpićby powinno jego ukonstytuowanie się, tymczasem zaś na rzecz Towarzystwa prowadzi scenę komitet założycieli, powierzywszy wybranym ze swego łona panom: Smochowskiemu Witalisowi dyrekcyą artystyczną dramatu i komedyi, a Niedzielskiemu Stanisławowi dyrekcyą opery. Rozpatrzmy się teraz, o ile oczekiwania publiczności znalazły zadośćuczynienie w składzie artystycznym, w repertuarzu i wymogach technicznych nowej sceny.

Bardzo to miłe wywarło wrażenie na publiczności, że nowy zarząd artystyczny wszystkie prawie czynniki dawnej trupy scenicznej, bo tylko z wyjątkiem pp. Szymańskiego i Leszczyńskiego, wcielił do nowego Towarzystwa; przyzwyczailiśmy się bowiem do tych artystów, między którymi zresztą nie brak znacznych talentów i gorliwych pracowników, a przyzwyczajenie takie jest nawet poniekąd z pożytkiem dla sztuki, gdyż publiczność, uczuciami swemi związana z artystą, łatwiej pojmuje i ocenia sztukę. — Z nowo zaangażowanych artystów większa część również zaliczoną być może do „dawnych znajomości“ naszych, gdyż np. z panią Aszpergerową, państwem Nowakowskimi i Woleńskimi zrośliśmy tutaj, a państwo Rawscy (Doroszyńscy), pani Szymańska, pan Dobrzański i pan Kwieciński nie są też wcale nowicyuszami na deskach sceny lwowskiej. Co do artystów, z którymi na nowej scenie poznajomić się mamy dopiero, pozostają tylko do wymienienia panowie: Ładnowski, Konarski, Podwyszyński, Wardzyński i Walewski, były uczeń szkoły dramatycznej lwowskiej.

W panu Ładnowskim, pozyskanym na reżysera nowej sceny, a dotychczas artyście teatru krakowskiego, gdzie w krótkim stosunkowo czasie pozyskał sobie wielką sympatyą i uznanie, mieliśmy już sposobność poznać pierwszorzędny talent sceniczny, artystę o pełnej inteligencyi i natchnieniu. W rolach „Othella“ Szekspirowskiego i „Franciszka Moora“ w „Zbójcach“ Szillera rozwinął p. Ładnowski przed oczyma widzów tyle mistrzowstwa swej sztuki, że odrazu jednomyślne zdobył sobie uznanie publiczności i krytyki, i z całą słusznością uważany jest powszechnie za główny filar, za duszę nowej sceny. Uznanie też należy się dyrekcyi co do zaangażowania panów Podwyszyńskiego i Konarskiego, dotyczczas artystów sceny poznańskiej, a którzy przedstawili się nam w kilku występach w sposób, zaszczytnie świadczący o ich talentach scenicznych i zamiłowaniu w sztuce. Młodzi ci artyści przynieśli już z sobą na scenę lwowską zrozumienie sztuki i gładką rutynę sceniczną, u pana Podwyszyńskiego zaś mianowicie podziwiamy dar wymowy i inne warunki rzetelnego artyzmu. Młody aktor p. Walewski rokuje także piękne nadzieje dla sceny.

Cóż mamy powiedzieć o znajomych nam z dawna artystach nowej sceny? Oto chyba, że pani Aszpergerowa mimo postąpionego wieku jak dawniej po mistrzowsku oddała trudną rolę księżnej Marlborough w „Szklance wody“ Scribe'go; że pani Nowakowska w rolach Desdemony w „Othellu“ i w klasycznej swojej „Poczwarce“ przypomniała nam cały swój znakomity talent pierwotny wzmocniony dzisiaj kilkoletniem doświadczeniem scenicznem; że pani Woleńska grą swoją w „Szklance wody“ i „Filibercie“, komedyi Augier'a, utwierdziła dawniej powzięte przez nas wysokie wyobrażenie o jej talencie; że wreszcie panowie Linkowski, Nowakowski, Woleński i Dobrzański w licznych dotąd występach dobrze przypomnieli się publiczności lwowskiej, pan Woleński mianowicie w roli Gustawa w „Ślubach panieńskich“ i Meshama w „Szklance wody“ a pan Dobrzański w roli Geldhaba Fredry. Pani German oddać należy uznanie za dobrze wystudyowaną grę w „Filibercie“, jak niemniej panu Doroszyńskiemu i Kwiecińskiemu za grę ich w „Nerwowych“, „Zbójcach“ i t. d. O talencie pana Wardzyńskiego wspomnieliśmy już w ogólnych wyrazach w jednej z poprzednich kronik; tutaj dodamy tylko, że młodemu artyście do pojęcia sztuki i zapału, jakie już posiada, potrzeba szkoły, a z niej miary estetycznej, która harmonijnie rozrządza zasobami ideału wrodzonemi artyście. — W końcu pozwalamy sobie zwrócić uwagę dyrekcyi nowej sceny na tę okoliczność: że tak pan Hubert zdaniem naszem nie nadaje się do ról, jakie mu powierzono w „Othellu“, „Zbójcach“ i „Poczwarce“, jak pani Hubertowa do roli matki Fadet w ostatniej sztuce, że przeto stosowniej należałoby używać tych zasłużonych zkądinąd artystów. Panna Rudkiewiczówna zrobiła co można było zrobić z bladej i bez wewnętrznego wyrazu roli Amelii w „Zbójcach“; pan Baranowski nic nie zapomniał i nic się nauczył od czasu zmiany stosunków sceny, na której grywa od wielu lat; talent bez wątpienia znaczny, lecz studyów, staranności żadnej u tego artysty.

Dodawszy do wymienionych artystów pannę Deryng, która niepospolity swój talent rozwija ciągle dzięki sumiennej pracy i gorącemu zamiłowaniu w sztuce; tudzież pana Karola Królikowskiego, właściwiej używanego teraz niż za dawnej dyrekcyi, otrzymamy pełny obraz sił artystycznych nowej sceny, a sza-

nowny czytelnik nie odmówi nam zapewne słuszności, gdy siły te uznamy za zdolne przy dobrem kierownictwie do utrzymania sceny na stanowisku pierwszorzędnem. Bez wątpienia, więcej tam jeszcze materyału niż sztuki skończonej, więcej zamiłowania i ochoczych talentów niż artyzmu, a i niejedną lukę wykazaćby można łatwo w dotychczasowym składzie nowego towarzystwa: że tylko wymienimy tu brak artystki do ról bohaterek i heroicznych kochanek; z tem wszystkiem wszakże szczerze cieszyć się powinniśmy i z tego co już jest, w nadziei, że przy dobrych chęciach i pracy młodych artystów, przeważnie składających nowe towarzystwo, z jednej strony, a energicznej i umiejętnej dyrekcyi z drugiej, w krótkim czasie mieć będziemy tylu artystów, ile dziś talentów mamy, a wtedy scenę tę nazwać będzie można świetną.

Repertoarzowi nowej sceny w pierwszych trzech tygodniach mamy tylko do zarzucenia „Nerwowych“, pseudo-komedyą Sardou i Barrie're, a zwłaszcza bezmyślną farsę francuzką p. t. „Czuła struna“, w której nowożytna Terpsychora całkowicie zastępuje miejsce starej Psyche. Że taki artysta jak Chęciński mógł podjąć się tłumaczenia takiej „foburgowej“ sztuki!— że nowa dyrekcya, będąca wyrazem zgorszenia wywołanego dawaniem podobnych lichot za poprzedniej, mogła „Czułą strunę“ wyciągać na scenę!—Sztuki, jak „Nerwowi“, jakkolwiek nie nacechowane tendencyą ujemną, nie powinne jednak zaprzątać „artystów“, ani wyzyskiwać zamiłowania publiczności, której nic nie mówią i nie dają, oprócz chyba sposobności do spazmatycznego wyśmiania się...

„Śluby panieńskie“, „Othello“, „Zbójcy“, „Geldhab“, „Szklanka wody“, „Filiberta“ „Konfederaci Barscy“... to zaprawdę koturnowy pochód — i niech go już dyrekcya do końca nam wiedzie, nie przypuszczając do szeregu karłów, w rodzaju „Nerwowych“ i „Czułej struny“!

Z podziwienia godną energią zajął się zarząd nowej sceny utworzeniem opery polskiej, tak, ażeby rozpocząć mogła widowiska jednocześnie z dramatem. Trudne to zaprawdę zadanie powiodło się najpomyślniej, a dziś już po wystawieniu „Halki“ i „Fausta“ najniewierniejsi pod tym względem Tomasze przyznać muszą, że istotnie mamy operę polską we Lwowie, odpowiadającą życzeniom nawet wybrednych miłośników tej sztuki. Warszawa głównie dostarczyła dźwigni nowej tej u nas instytucyi, odstępując operze lwowskiej trzy znakomite głosy: panny Maryi Kwiecińskiej (sopran), pana Cieślewskiego (tenor pierwszy) i Borkowskiego (bas.) Zaangażowano nadto pannę Klofat i Waitzównę (mezzo-sopran i alt) jako też panów Miłaszewskiego Leopolda i Koncewicza, tak że głosy solowe mamy już prawie w komplecie, tem bardziej, że sam dyrektor opery p. Niedzielski posiada przyjemny i wykształcony baryton. Chóry też w pierwszych zaraz produkcyach trzymały się dzielnie, a orkiestra wzmocniona, zwłaszcza w instrumentach smyczkowych i pod zdolną dyrekcyą, dobrze współdziała w wykonaniu całości oper.

Pod względem technicznym i administracyjnym dyrekcya nowej sceny przeprowadza zwolna ulepszenia oddawna tutaj pożądane. Nabyła znaczną ilość kostiumów historycznych, pustą bibliotekę zaopatrzyła naprędce w doborowe utwory, a w ciągu lata ma zaprowadzić nowe oświetlenie sceny, mianowicie z góry, tudzież urządzić lepszy niż był dotąd mechanizm ogrzewania sceny i amfiteatru w zimie.

Obok sprawy teatralnej rozstrzygnęły nam ostanie dni marca także sprawę dyrekcyi artystycznej Towarzystwa muzycznego. Walne zebranie członków postanowiło uprosić dawny Wydział i dyrektora o zatrzymanie i nadal w swem ręku kierownictwa Towarzystwa. Wielka burza skończyła się małym deszczem... i tęczą, symbolem przymierza, tyle pożądanego tym, co interes sztuki kładą nad zachcianki stronnictw i koteryj. — Wieczorki Towarzystwa odbywają się dotychczas, a w pierwszych dniach b. m. mieliśmy koncert głośnej pianistki panny Menter i wiolonczelisty p. Poppera, w której to produkcyi udział publiczności nie odpowiedział zasłudze artystów. Pogodne słońce jest widać zawsze, jak było, największym wrogiem wszelkiego rodzaju koncertów i widowisk!

Zarząd Towarzystwa lwowskiego przyjaciół sztuk pięknych zapowiedział otwarcie wystawy sztuk pięknych na dzień 25. b. m. Artystów rzeczą jest teraz uczynić wystawę pociagającą dla publiczności.

Z nowych publikacyj tutejszych wymieniamy, pozostawiając szczegółowe ocenienie krytyce, powieść o tendencyi filozoficznej p. t. „Władysław“, napisaną przez Wojciecha Dzieduszyckiego, a wydaną nakładem Karola Wilda. — Pisma zbiorowego „Na dziś“ wydawanego w Krakowie wyszedł też właśnie tom II., pod względem treści i staranności redakcyi nie ustępujący wcale pierwszemu.

Donieść winniśmy w końcu publiczności tego kraju, że komisya lwowska wystawy powszechnej wiedeńskiej, podzieliwszy się na sekcye fachowe, rozpoczęła już swoje prace i uchwaliła na wstępie rezolucyą, ażeby domagać się u ministerstwa odrębnego na wystawie działu dla okazów galicyjskich.

B. K.

Drezno w kwietniu.

(Broszura: Rosya i Polska. — Antidot jej: Sprawa Polska, Forstera. — Łepkowskiego: Sztuka. — Miscellanea Felixa Wicherskiego. Obrazy H. Siemiradzkiego. — Artyści w Polscy za granicą. — Rysownicy Andriolli i A. Zaleski.)

W tem spokojnem Dreznie, w którem możnaby, ściśle biorąc, chodzić w szlafroku po ulicy, nie zwracając niczyjej uwagi (byle szlafrok zbyt świeży nie był) — żyje, jak wiecie, kilkaset polskich kalek i tułaczów... Jedni przyszli tu dlatego, że im zbyt dobrze na świecie, drudzy dlatego, że im źle bardzo. Wszystko to pochowane po kątkach wegetuje, stroniąc od siebie, kryjąc się od ludzkich oczów, zbierając z nudów kupkami, i ostatecznie wyjeżdża potem czarnym wozem na Frydrychstadt na wieczny spoczynek... Wpośród ciszy, którą plotka niekiedy, jak raca fajerwerkowa ciemności, przerywa — bywają wypadki poruszające całą ową kolonię i na chwilę nawet zbliżające do siebie pierwiastki, które nie rade się kojarzyć... Takiemi wypadkami bywają pogrzeby, teatr, loterye na ubogich... żywe obrazy... lub rzadko trafiające się— skandale... Niemiec, a za nim i my tu żyjący, zowiemy już skandalem, gdy kto gra po dziesiątej na fortepianie i głośno tupie nogami na pierwszem piętrze... nie dając spać podnożnym mieszkańcom. Tym razem skandal mieliśmy daleko donośniejszy (mówiąc stylem dziennikarskim wieku), wyszła bowiem u nas

owa Broszura — Polska i Rosya, która okrutnego narobiła hałasu. Znacie ją już choćby ze sprawozdań, w Kraju, w Gazecie Narodowej i Dzienniku Polskim...

Bolesne to było dla wszystkich zjawisko.. gniewają się jedni, burzą drudzy, kłopocą wreszcie inni, żeby nie pomyślano — qui tacet, consentire videtur... Chcianoby gruntownego rozbioru i odpowiedzi chłodnej, wyczerpującej, zbijającej sofizmata i herezye autora... Są i tacy, którzy powiadają, że broszura nie potrzebuje refutacyi i zbija się sama idąc za daleko... To pewna, że autor nie spodziewał się wcale wywołać wrażenia, jakie uczynił — oto rozbudził patryotyzm i poczucie godności narodowej...

W dziennikarstwie rosyjskiem sądu o broszurze jeszcześmy nie czytali — w Petersburgu jest ona dozwoloną, zakazaną w Warszawie — w całej Polsce uczyniła wrażenie jedno... tu jednak w Dreznie znalazła obrońców, a nawet pono tłumacza... Mówiono zrazu o dwóch, lecz niemieckie wątpię by do skutku przyszło...

Ażeby przykre wrażenie broszury tej zatrzeć, dołożę jako antidot Forstera: Sprawę Polską (jeźli o niej w przeszłym moim liście nie było mowy...) W książce tej zebrał autor sądy o sprawie naszej wielu znakomitości obcych, dowodzące, że nie wszyscy godzą się na fait accompli, dlatego tylko, że jest on dokonany... a wierzą w prawo i sprawiedliwość. Miły Boże! mógłże nieboszczyk Fritz i wiekopomna Katarzyna spodziewać się, iż w lat sto po tem dziele, które się im tak łatwem zdawało do wykonania, jeszcze się skutki jego odzywać będą i zawsze sprawa Polski dopominać się będzie mściwego rozwiązania Nemesis historycznej... Wielki Fritz chwalił się przed Wolterem, że go to kunsztowne dzieło kosztowało tylko trochę atramentu; wielka... Katarzyna uśmiechając się twierdziła, iż w Polsce schylić się tylko trzeba, żeby coś pochwycić... a tymczasem do dziśdnia konfiskaty, Sybir, Spandau, Weichselmünda, Spilberg... nie wytępiły upartych, którzy wierzą, iż sprawiedliwość przyjść musi. Pozytywiści na ten nasz sentymentalizm ruszają ramionami z pożałowaniem; e pur si muove!!

Do najpożyteczniejszych nowości należy podręcznik Prof. Łepkowskiego — Sztuka. Mówiliśmy już o nim obszerniej gdzieindziej, tu byśmy tylko chcieli wyrazić życzenie, aby ta książka jako dzieło elementarne po pensyach żeńskich i po zakładach naukowych prywatnych użytem było, dla dania uczniom, w tym przedmiocie zupełnie zaniedbanym, pierwszych zdrowych pojęć o sztuce wogóle i o jej zabytkach u nas.

Lepszego ani więcej obejmującego podręcznika naukowego nawet literatury zagraniczne nie mają. Nasi krytycy mniej może obeznani z innemi dziełami tego rodzaju, lub porównywając Sztukę Łepkowskiego do bardziej wyczerpujących i szerszych rozmiarów ksiąg, mogą jej czynić jakieś zarzuty; to pewna, iż wypełniła brak w literaturze i pozostanie w niej jako praca wielce użyteczna, sumienna i nie bez wdzięku...

W Paryżu wyszła też świeżo książka oryginalna, o której jeszcze nigdzie nie czytałem wzmianki. Tytuł jej: Felixa Wicherskiego Miscellanea. (Tom pierwszy, Paryż 1872 352.) Są to poezye: Cztery księgi bajek, Epigrammy i Wiersze różne. Wiele rzeczy naśladowanych, przerobionych, którym autor swe własne nadał piętno, trochę oryginalnych, a wszystko razem żywe, formą udatne, z dowcipem i maestrią wyspiewane... Dla tych, co nawykli poezyi szukać i zwać nią tylko półmistyczne natchnienia nowej szkoły, Wicherski wyda się może za prostym, za jasnym, za wesołym, przecież jest w tem zdrowy talent, nie lękający się być sobą i takim, jakim go Pan Bóg dał. Weźmy na los szczęścia epigrammat.

Gdzie stronnictwa walczą skrajne,
Tam usycha żywioł zgody,
Tam lub pęta nadzwyczajne,
Lub swawola bez swobody.
Tak upadają narody.

Wiele rzeczy wcale szczęśliwie i zręcznie i w formie świeżej wypowiedziane, najlepsze są jednak bajki... Z tych tylko damy wam jednę... Wieprz i lis.

Każdy wyjeżdża z popisem.
Chełpił się raz wieprz przed lisem:
Rzecz, mówił mu, niesłychana,
Jakiego dostałem pana!
Poi mnie, karmi, co dnia da gościnca,
To nie pan, to dobroczyńca,
Co mówię, dobroczyńca? kiedy najwyraźniej,
Tyle ma dlamnie przyjaźni,
Że nawet wobec swych gości
Nie posiada się z radości
Dlatego tylko, żem tłusty.
Zapewnie też wkrótce społem
Zasiędziemy z nim za stołem...
Na to lis wpada w śmiech pusty:
„Tak, tak — rzecze — z twoim panem
Za jednym stołem... lecz z chrzanem.
Dowiedz że się, gdyś ciekawy,
Że pielęgnują podświnki;
Bynajmniej nie dla zabawy,
Ale że z nich dobre szynki...
Tak często na wielkim dworze,
Nie jeden zmylić się może,
Gdyż dzięki swej wyobraźni
Nie pozna się na uczynkach;
Dworak myśli o przyjaźni,
A wielmożny pan o szynkach.

Jest tu z Goethego wybornie przetłumaczona, Pchła, jest wiele starych bajek, ale w zupełnie nowej szacie.

Z nowych dzieł artystycznych na pierwszem miejscu położyć trzeba obraz P. Henryka Siemiradzkiego (Nowogrodzianina; o Siemiradzkich wspomina Mickiewicz w Panu Tadeuszu, i ojciec naszego artysty był jego przyjacielem) odmalowany i chwilowo wystawiony w Monachium: Orgia rzymska. Kompozycya to bogata, ułożona z wielkim talentem i ogromnego efektu... Możnaby z niej samej rokować artyście bardzo piękną przyszłość, gdyby za nią nie ręczyły trzy złote medale, które otrzymał, i już znane obrazy. P. Siemiradzki, który na lat kilka wyjechał dla studyów za granicę, z Monachium udaje się do Włoch, Paryża... i ma w tece kilka pomysłów, wkrótce wykonać się mających. Wszystkie są w tym mniej więcej rodzaju Weronezowskich, złożonych z mnóstwa figur, grup i scen efektowych. Pierwsze też utwory: Chrystus zstępujący w otchłań, Rzeź niewiniątek, Zniszczenie Gomorry, noszą na sobie tę samę cechę.

Obraz, nad którym młody artysta pracuje teraz, wyczerpnięty jest z legendy: Chrystus jednem wejrzeniem nawracający grzesznicę. W Monachium dwóch panów Romerów z Litwy znakomitemi odznaczają się talentami; we Florencyi pracuje p. Łaszczyński i Szolc... W Dreznie p. Kowalski.... W pismach ilustrowanych warszawskich nowy rysownik z talentem p. Andriolli (szkoła wybitnie francuzka) zasługuje na wzmiankę. Wieniec mieści malowniczą podróż do Tatrów pióra i ołówka pana Antoniego Zaleskiego.

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Nowy pretendent do tronu francuzkiego). Żaden kraj na świecie, nie wyłączając nawet Ameryki północnej, nie obfituje tak dalece w awanturników politycznych i socyalnych, jak Francya. Oto i teraz wystąpił tam na widowni politycznej nowy zbawca społeczeństwa, a jest nim znakomitość wcale nie pospolita, bo aż Jego królewska Mość Aureli Pierwszy, król araukański. Awanturnik ten pojawił się był przed dziesięciu laty pomiędzy Araukanami w Chili, oszukał tamtejszych kacyków, kazał się przez nich obwołać królem i podburzył ich do wojny przeciw Chilenom. Ci pojmali Jego królewską Mość i napędzili. Później siedział on w Paryżu w więzieniu za długi, a przed dwoma laty pojawił się znów niespodzianie w południowej Ameryce pomiędzy Araukanami, i wyspępował z swemi uroszczeniami do tronu. Indyanie jednak nie troszczyli się o niego wcale, i teraz przebywa on w Marsylii, gdzie wydaje dziennik pod tytułem: „La Couronne d' acier“ (Stalowa korona). Dziennik ten ma zapowiadać nową przyszłość polityczną, a redaktorem i właścicielem jego jest „Książę O. A. (Orelie Antoine) de Tonners (jestto jego nazwisko familijne), król Araukanii i Patagonii, to jest Nowej Francyi, i przyszły król Francyi.“ Zatem mają dziś Francuzi o jednego pretendenta do korony więcej, a ten jest tak dobry, jak i wszyscy inni.

(Gretna Green), owa w rocznikach miłości sławna od wieku ucieczka nieszczęśliwych kochanków, podupadła już teraz zupełnie; historya jednak tej prawdziwej niegdyś „kuźni małżeńskiej“ nie przestanie być nigdy wielce zajmującą.

Był czas w Anglii, że można było z największą łatwością ożenić się każdej chwili. Slawnym był w tym względzie okręg londyński Fleet, który przed 120 laty jeszcze miał przywilej, zawierać śluby małżeńskie bez wszelkiego zachodu. Okręg ten bowiem wyjęty był z pod jurysdykcyi biskupa londyńskiego, i każdy duchowny miał prawo w swoim obrębie udzielać nowożeńcom błogosławieństwa kościelnego. Nadużycia jednak, jakich się dopuszczano na mocy tego przywileju, przechodziły wszelkie wyobrażenie. Kronika tamtejsza opowiada, że bezecni teologowie, którzy siedzieli w więzieniu Fleet i nie mieli już nic do stracenia, prowadzili formalną spekulacyą z udzielaniem ślubów małżeńskich. A z jaką bezczelną jawnością robiono to, pokazuje się z zawartego w ówczesnych dziennikach ogłoszenia, które było następującej treści: „W jedynie prawdziwej kaplicy, pod Czerwoną ręką i Czapką biskupią, trzy drzwi powyżej Fleet-Lane, a pierwsze drzwi obok Białego łabędzia, udziela Jego Wielebność pleban Symson ślubów małżeńskich. Notabene: Należytości kościelnych nie płaci się.“

Spółzawodnictwo było wielkie, i dlatego musieli księża, po największej części wesołe, hulaszcze dusze, a niekiedy nawet łotry, uciekać się do reklamy. Tak na przykład czytano na jednem oknie: „Tu zaślubia się tanio“; na innem: „Zaślubiny za bezcen.“ Nad niektóremi drzwiami tej osobliwszej dzielnicy umieszczony był obraz, przedstawiający zakochaną parę ze splecionemi rękoma i podpisem: „Tu zawiera się małżeństwa.“ Jak dzisiaj faktorowie zachęcają przechodzących, ażeby weszli do sklepu, tak wówczas ludzie, wcale nie obudzający zaufania swą powierzchownością, uwijali się po ulicach i wabili przechodzących do najbliższej knajpy, ażeby ich tam zaślubić. A nawet poważni ojcowie duchowni, częstokroć o czerwonem, nabrzmiałem obliczu, noszącem na sobie niezatarte piętno wyuzdania i rozpusty, czatowali po całych dniach przy gościńcu, by łowić zdarzające się ofiary. Nikczemni ci spekulanci byli gotowi w braku pieniędzy spełniać obrządki ślubne nawet za złożeniem jakiegokolwiek przedmiotu odpowiednej wartości, i jak niegdyś wędrujący artyści najniższego rzędu dozwalali płacić sobie za wstęp na swoje przedstawienia sérem, masłem, szperką, jajami i t. p., tak i ci szanowni kopulanci nie wzdrygali się nieraz dopełniać obrządku ślubnego za garść tytoniu albo miarkę wódki.

Z tą bezczelnością zaś łączyły się falszerstwa rozmaitego rodzaju; bo nie dość na tem, że duchowni okręgu Fleet popierali wymuszone lub podstępnie zawarte małżeństwa, ale za pieniądze można było uzyskać od nich jeszcze coś więcej nie narażając się nigdy na odmowę. Tak na przykład nie wahali się oni na życzenie, poparte pieniądzmi, dawać ślubom datę wcześniejszą wedle potrzeby, wystawiać metryki ślubne, chociaż małżeństwo nie zostało wcale zawarte, i t. p. „Dwoje ludzi— tak opowiada kronika — mogło zawrzeć związek małżeński, nie wymieniając wcale swego nazwiska. Kobiety wynajmowały sobie w okręgu Fleet mężów na jakiś czas, ażeby tym sposobem ochronić się od aresztu za długi. Takich mężów najemnych dostarczali księża po pięć szylingów od sztuki.“ Pokazało się, że pewien mężczyzna pięć razy w ten sposób brał ślub, otrzymawszy każdy raz swoich pięć szylingów. Nie mniej oryginalną była też instytucya tak zwanych „półślubów“, która zależała na tem, że państwo młodzi po ukończeniu połowy ceremonii ślubnej oświadczali, że już są dostatecznie zaślubieni, i płacili wtedy tylko połowę należytości.

Nadużycia te przybrały wreszcie takie rozmiary, że rząd nie mógł znosić ich dłużej, i parlament zakazał zawieranie ślubów małżeńskich w okręgu Fleet. Ostatniego dnia, przed ogłoszeniem prawomocności tego zakazu, zawarto jeszcze w Fleet 217 małżeństw. Ale potem musiała prześladowana miłość szukać sobie innego przytułku, i znalazła go w znanej wsi szkockiej Gretna Green, której kowal dopełniał zwykle obrządku małżeństwa, gdyż jak wiadomo nie potrzeba podług ustaw szkockich niczego więcej do zawarcia ważnego małżeństwa, jak tylko oświadczenia kochanków w obec dwóch świadków, że się chcą zaślubić. Kowal ów przeto miał doskonały odbyt.

Czasem ścigali kochanków rodzice lub krewni i chwytano ich, nim jeszcze zdołali przebyć most wiodący do Gretna Green przez rzekę Sark; ale najczęściej zdołali oni ukryć się w jakiemś bezpiecznem miejscu, dopokąd nie minęło niebezpieczeństwo w osobie nieubłaganego ojca, pałającego zemstą brata lub grożącego wydziedziczeniem wujaszka. Skoro jednak kowal ich połączył, nie potrzebowali oni już obawiać się niczego, gdyż małżeństwo ich było tak ważne, jak gdyby sam biskup ich połączył, i krewni radzi nie radzi musieli pogodzić się z koniecznością.

Dziś wszakże żyje Gretna Green jako ostatni przytułek prześladowanej miłości już tylko w podaniu. A przyczyną tego nieszczęścia nie jest nic innego, tylko ów złowrogi smok parowy, który nie mało już złego wyrządził na świecie. Przez Gretna Green bowiem przechodzi kolej kaledońska, i drut jej telegraficzny niweczy najczęściej zamiary uciekających. Nieszczęsna ta okoliczność pozbawiła zupełnie zarobku kowala, i dziś musiał on wziąć się nanowo do swego poczciwego rzemiosła. Podania bledną przy blasku tryskających iskier, i kowadło odzyskało znowu swoje dawne prawa. Nie słychać jednakże, by z tego powodu miała się zmniejszyć liczba wykradzeń w Anglii; tylko uciekają dziś kochankowie do takich miejsc szkockich, które leżą zdala od kolei żelaznej; to utrudnia pogoń, i tak osiągają oni najczęściej cel swoich życzeń, gdyż potrzebnych świadków można wszędzie znaleźć z łatwością.

(Tajemnicze zniknięcie.) Liweranci kompanii gazowej w Moskwie, Williams Klews i synowie w Birminghamie, ogłosili w dzienniku „Times“ następujące szczegóły o tajemniczem zniknięciu swego pełnomocnika w Moskwie, niejakiego L. R. Bauera: Pełnomocnik ten pisał do nich pod dniem 12. stycznia r. b. z Rygi, że dla osobistego porozumienia się z nimi w ich sprawie odjedzie 14. stycznia do Anglii. Potem pisał znów do nich pod dniem 14. stycznia z Rygi, 20. stycznia z Berlina, a 22. tego samego miesiąca z Hamburga. Ztamtąd odpłynął 23. stycznia parostatkiem „Libra“ do Londynu i stanął w tem mieście 25. stycznia. Nazajutrz rozmawiał jeszcze w interesie swojej firmy z tamtejszym jej ajentem i telegrafował do Birminghamu, że odjedzie tam pociągiem odchodzącym z Londynu o gdzinie 9 zrana, ale wkróce potem doniósł drugim telegramem, że chybił pociągu rannego i będzie mógł odjechać dopiero o godzinie 3 po południu. Odtąd zniknął gdzieś bez śladu, i jedyną wiadomość o nim podaje jego własny list, pisany pod dniem 27. stycznia do szefa domu handlowego w Birminghamie, a list ten zawarty był w innem piśmie nieznanej ręki, datowanem z dnia 2. lutego. Obadwa te pisma, odebrane w Birminghamie dnia 3. lutego, były następującej treści: „Szanowny Panie! Z szczególniejszych względów dozwolono mi napisać tych kilka słów do Pana; są one ostatnie, gdyż za kilka godzin nie będzie mnie już na świecie. W nadziei spełnienia dobrego czynu wszedłem przed kilku laty w stosunek z pewnymi ludźmi, ale niestety popełniłem wielki błąd, popchnięty moją młodością i brakiem doświadczenia. Przed rokiem poznałem mój błąd, gdyż nie byłem do tyla złym, by wykonać pewne następstwa źle zrozumianego ślubu; i od tego czasu żyłem w ciągłej obawie, chociaż w istocie nie byłem jeszcze przygotowany na to, co nastąpić miało, aż wreszcie jeden z tych szatanów w postaci ludzkiej przeszkodził wczoraj zrana stanowczo memu odjazdowi z Londynu. Nie przeczuwałem nawet, żem był na każdym kroku śledzony. Ponieważ pozostaje mi tylko do wyboru, albo dopuścić się czynów, na które oburza się moje serce, i których zresztą fizycznie nie jestem w stanie wykonać, albo też umrzeć samemu, przeto wybrałem śmierć i zginę za kilka godzin. Czuję, że to okropnie tak niespodzianie opuszczać ten świat, nie widząc więcej nikogo z tych, których kochałem, i serce kraje mi się na myśl o mojej rodzinie i mojej biednej narzeczonej w Rosyi (Bauer był zaręczony w Rydze); ale nie ma już na to żadnego ratunku. Wiem bardzo dobrze, że los mój jest już rozstrzygnięty, i jestem już na wszystko przygotowany. Gdyby inaczej było, czyż mógłbym pisać coś podobnego? Moje rzeczy, jak sądzę, są już zniszczone, gdyż potrzeba usunąć wszelki ślad po mnie. Co do nieprzyjemności, jakich Ty, Szanowny Panie, doznasz z powodu mojej śmierci, zapewniam, że one wielce mnie zasmucają, zwłaszcza że bardzo wiele rzeczy mógłbym Panu z pamięci oznajmić; ale spodziewam się, że mi Pan przebaczy, dowiedziawszy się, że w tak gwałtowny sposób zostałem rozłączony z tem wszystkiem, co mnie — o Boże mój! uszczęśliwić mogło. Żegnam Cię, Szanowny Panie; jestem srodze ukarany za to, żem się zawiódł na ludziach, ale przynajmniej sumienie moje nie ma mi nic do zarzucenia. Ginę jako człowiek uczciwy. Bywaj Pan zdrów na zawsze! L. R. Bauer.“ — Załączone do tego listu drugie pismo opiewa: „2. lutego 1872. Mój Panie! Szalony autor załączonego listu doniósł Panu prawdę; nie żyje on już. Bezpieczeństwo nasze nie dozwalało nam odesłać Panu Jego własności, mianowicie pewnych papierów, które musiały być spalone. Jest nas, mój Panie, dostateczna liczba.“ — Policyi nie udało się dotąd wyśledzić nic bliższego. Tylko ojciec tego nieszczęśliwego młodzieńca podał list do dzienników angielskich, w którym donosi, że syna jego chcieli już zeszłego lata zamordować w Petersburgu członkowie jakiegoś tajnego spisku, którzy go ścigali aż do Londynu.

Natomiast czytamy w dziennikach paryskich co następuje: Bauer, o którego traicznej śmierci dzienniki angielskie pisały, Moskal z urodzenia lubo z nazwiska Niemiec, należał do stowarzyszenia moskiewskiego, którego członkowie, jak niegdyś zakonnicy, pod karą śmierci ślubują nigdy się nie żenić. Poźniej jednak zapomniawszy o strasznych swoich ślubach zakochał się w młodej o pięknych oczach pannie, córce bogatego mieszkańca Rygi.

Po zaręczynach pojechał do Anglii, gdzie w Birmingham był ajentem domu handlowego. Napróżno jednak czekano na jego powrót. W Londynie znaleziono po Tamizie pływające ciało młodego człowieka, którego wprzódy zaduszono; — poznano w niem Bauera. Listy odebrane w Birmingham zawiadomiły jego patronów, że za złamanie ślubów został przez stowarzyszenie aresztowany i na śmierć skazany. Wypadek ten zrobił wielkie wrażenie w Anglii.

Niewola polityczna, jaka w Moskwie panuje, jeżeli nie dopuszcza nadużyć wolności, których widownią była Polska i Francya, wyradza za to potworności moralne.

(Tortury w więzieniach amerykańskich.) Jeden ze sprawozdawców dziennika „New York Times“, który

zwiedzał niedawno dokładnie więzienie „Sing-Sing“ w Nowym Yorku, ogłosił teraz w tem piśmie długie i prawie niepodobne do wiary sprawozdanie o tych odwiedzinach, z którego przytaczamy co następuje: „Pomimo urzędowych środków ostrożności pokazało się, że w tem więzieniu używane bywają dwa nowe przyrządy torturowe. Gdy uchwałą senatu zniesione zostało używanie „groźnej kąpieli“, „krzyżownicy“, dziewięcio-ogonowej dyscypliny i innych narzędzi torturowych w naszych zakładach karnych, przyklasnął temu rozporządzeniu każdy wykształcony obywatel; nie przypuszczano jednak wcale, by ich miejsce miały zająć inne, równie barbarzyńskie męczarnie. A przecież tak jest niestety, gdyż przekonaliśmy się o tem naocznie w dwóch celach więziennych, ukrywanych starannie przed ciekawością publiczną. Oto znajduje się w jednej z tych cel przyrząd, który urzędnicy więzienni nazywają żartobliwie „Trapezem.“ Składa on się z dwóch grubo smołą obciągniętych lin, poruszanych za pomocą windy; na pozór jestto całkiem niewinne przyrządzenie, a jednak zadaje ono niewysłowione męki a często nawet śmierć nieszczęśliwym ofiarom tej barbarzyńskiej operacyi. Oto końce tych lin przywiązują do wielkich palców skazanego na męczarnię więźnia, poczem oprawca wpuszcza w ruch windę i ofiara wznosi się do góry. Wisząc tak w powietrzu, że cały ciężar ciała spoczywa tylko na dwóch palcach, doznaje ów nieszczęśliwy męczennik najokropniejszych cierpień. W każdej części ciała uczuwa ból straszny, każdy nerw jego drga jak w konwulsyi. Wszystkie muszkuły i żyły są do największego stopnia wyprężone i wyglądają w ciele ludzkiem jak rozpalone druty. Stawy w łokciach i łopatkach trzeszczą co chwila, jak gdyby się rozchodziły, a uwiązane palce, nabrzękłe i czarne od krwi zapiekłej, pękają niekiedy. Na szczęście traci przerażona i zbolała ofiara w tym stanie zwyczajnie przytomność, a gdy ją odwiążą, nie może przez długi czas potem poruszać ani ręką ani nogą. Jeden z dozorców więziennych, zapytany przez sprawozdawcę, jakie skutki wywiera ten trapez, odpowiedział: „Widziałem ludzi wieszanych tak długo, aż palce ich napęczniały do wielkości łba największej ropuchy. Sznur przerzyna ciało, jak tylko wyciągną więźnia do góry; bardzo często też mdleje on w ciągu tej operacyi. Gdy skazany przetrwa męczarnie trapeza, wrzucają go do ciemnej celi, a na drugi dzień wieszają go znowu.“ — „Jakże długo trwa ta męczarnia“ — pytał go dalej sprawozdawca. — „Nieraz przeszło godzinę“ — odpowiedział — „ale wielu traci przytomność przed upływem tego czasu...“ Istnieje jednak jeszcze drugi, równie szlachetny przyrząd do poskramienia zuchwałych więźniów. Cele ciemne są to więzienia kamienne, długości 7, szerokości 3, a wysokości 6 stóp, do tego zamknięte szczelnie grubemi drzwiami żelaznemi, które nie dopuszczają żadnej wentylacyi. Otóż w jednej z tych ciemnych cel znajduje się drugi przyrząd torturowy, godny zaprawdę pierwszego: jestto tak zwane „łoże różanne.“ To sybaryckie łóżko składa się z grubej deski, pokrywającej podłogę celi, do której przytwierdzone są półkule z twardego drzewa, wielkości przeciętej napół kuli bilardowej, zwrócone powierzchnią okrągłą do góry. Na to łoże wtłaczają skazanego na karę więźnia, rozebrawszy go prawie do naga. Po kilku dniach przebytych w celi, zawierającej to łoże, gorsze od kamienistego, i w powietrzu tak zatrutem zgnilizną, popada nieszczęśliwy więzień w stan zupełnej niemocy tak fizycznej jak i moralnej. Napróżno szuka spoczynku w śnie lub wygodniejszego położenia; twarda gałka wgniata się w ciało i sprawia mu ból straszny; każde poruszenie powiększa jego męczarnię, ale jego błagania o litość nie znajdują odpowiedzi. Nieraz po kilka miesięcy trzymany bywa więzień w tej ciemnej celi, i zwykle wynosi ztamtąd zaród jakiejś śmiertelnej choroby. W roku 1821 przedsiębrano w więzieniu Auburn ścisłe badania co do wpływów, jakie wywiera na więźniów zamknięcie w odosobionych celach. Cele te były pałacami w porównaniu z ciemnemi lochami więzienia Sing-Sing. Mimo to cierpieli więźniowie okropnie. Z 80 zamkniętych tam zbrodniarzy umarło do roku pięciu, jeden dostał pomieszania zmysłów, inny w chwili, gdy go spuszczono z oka, wyskoczył z swojej celi przez galeryą i zabił się. W końcu ulitowawszy się gubernator, ułaskawił 26 więźniów i tym sposobem ocalił ich od śmierci. Niektóre cele zwyczajne są bardzo wilgotne i niezdrowe, podobnie jak owe ciemnice w Sing-Sing; a podłoga jednej galeryi jest w nocy tak mokra, jak gdyby ją wodą zlano. Więźniowie nazywają tę galeryą „c m e n t a r z e m.“ I to wszystko dzieje się w naszych czasach, i to jeszcze w kraju, który ma pretensyą do wysokiej cywilizacyi!

(N i e s z c z ę s n e s k u t k i ż a r t u.) Jestto prawda stara jak świat, że swawola i chęć dokuczenia drugim bywają nieraz przyczyną wielkiego nieszczęścia, a przecież nie przestaną ludzie nigdy ulegać tej słabości. Oto niedawno wydarzył się świeży wypadek tego rodzaju, że żart całkiem niewinny zakończył się w sposób bardzo tragiczny. Pewien właściciel futoru w pobliżu miasta Nashville w państwie Tennessee, imieniem William Thompson, który mieszkał samotnie tylko z jedną niezamężną siostrą w ustronnem folwarku swoim, znany był powszechnie z wielkiego tchórzostwa. Kilku znajomych i przyjaciół postanowiło tedy wypłatać mu figla, ażeby go z tej bojaźliwości wyleczyć. Raz więc przy sposobności napomknęli żartem, że z jakiejś menażeryi wyrwał się jaguar, że go widziano w okolicy miasta, i że nocami uwija się nawet około pobliskich folwarków przerażając mieszkańców swoim strasziwym rykiem. Thompson nie chciał jednak temu wierzyć i nazwał to bajką, jak też było w istocie. Ale przyjaciele droczyli się z nim utrzymując, że gdyby jaguar pokazał się na jego folwarku, onby go pewnie nie widział, gdyż usłyszawszy ryk tego drapieżnego zwierzęcia, schowałby głowę pod kołdrę. „To jeszcze wielkie pytanie“—odpowiedział Thompson, — „niech tylko jaguar istotnie się pokaże!“ Przyjaciele umówili się tedy, żeby doświadczyć jego odwagi. Jeden z nich, imieniem Jerzy Lancaster, pożyczył od znajomego skóry jaguara, i ubrawszy się w nią łaził nocą około folwarku Thompsona naśladując ryk jaguara, gdy tymczasem inni ukryci za drzewami i płotami oczekiwali skutku tego figla. Pierwszej nocy nie dał się William ani widzieć ani słyszeć, jak gdyby istotnie strach go opanował. Ale gdy następnej nocy wybrał się fałszywy jaguar znowu na strachy i rycząc łaził około płotu, padł silny strzał z okna Thompsona i ugodził mniemanego jaguara w samo serce, tak że padł natychmiast z śmiertelnym krzykiem. Przerażeni przyjaciele pospieszyli na ratunek, ale

już było za późno, i wtedy dopiero dowiedział się nieszczęśliwy Thompson, że całkiem niewinnie stał się zabójcą swojego przyjaciela.

(Niebezpieczny kometa.) Genewski astronom Plantamour odkrył kometę, który objętością swoją przewyższa wszystkie znane dotychczas. Podług spostrzeżeń i obliczenia Plantamoura leci on z nadzwyczajną szybkością wprost ku ziemi i zetknie się z nią na dniu 12. sierpnia r. b. Zbliżanie się jego da się uczuć przez nadzwyczajne upały, a katastrofę może odwrócić tylko zboczenie z kolei, jakie mogłoby nastąpić, gdyby kometa w przelocie dostał się w obręb atrakcyjny innego ciała niebieskiego. Tak donosi dziennik „Swiss Times," i łatwo pojąć, że doniesienie takie może zatrwożyć wrażliwsze umysły. Możemy jednak zapewnić naszych czytelników, że rzeczy wcale tak źle nie stoją; fachowy bowiem tygodnik „Nature," redagowany przez mężów świadomych rzeczy, nie tylko nie podziela tej obawy, ale nawet zbija stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo. „Obawiamy się, powiada rzeczone pismo, że cała ta pogłoska jest bezzasadna. Dla umiejętności byłoby dziś nawet rzeczą wielce pożądaną, żeby się zjawił porządny wielki kometa, a im więcej zbliży się do ziemi, tem lepiej dla nas, gdyż astronomia ma w tym względzie wiele jeszcze do wyjaśnienia. Uszkodzenia zaś ziemi nie potrzeba przytem wcale się obawiać. Bo jeśli podług twierdzenia Keplera i Aragona istnieje 17,500.000 komet, to nie muszą one być wcale niebezpieczne, gdyż inaczej byłyby nas już dawno uszkodziły. A bardziej jeszcze powinien nas uspokajać ten fakt, że kometa z roku 1770 zbliżył się tak dalece do Jowisza, że się zaplątał pomiędzy jego księżycami, z których najmniejszy ma około 2000 mil w średnicy. Mimo to szły te księżyce swojemi kolejami, jak gdyby nic się nie stało, gdy przeciwnie dla komety było to spotkanie tak nieprzyjemnem, że zmienił kierunek swojego biegu. Zresztą wcale jest podobnem do prawdy, żeśmy już w roku 1861 przeszli istotnie przez wielkiego kometę. Radzimy więc wszystkim spać spokojnie, bo biblijny koniec świata nie tak prędko jeszcze nastąpi.

(Chińskie nabożeństwo.) Spółpracownik dziennika „North China Herald", który był naocznym świadkiem pewnej chińskiej ceremonii religijnej, opisuje w następujący sposób uroczystość, z jaką odbyło się odczytanie prawowiernym „świętego edyktu cesarza" w państwie niebieskiem. O świcie każdego pierwszego i pietnastego dnia w miesiącu zbierają się urzędnicy cywilni i wojskowi w swoich uniformach w obszernej, publicznej świątyni. Superintendent, zwany Lee-sang, wzywa ich głośno: „Przystępujcie w szeregach!" Urzędnicy stają w szeregach podług starszeństwa, a Lee-sang woła znowu: „Uklęknijcie trzykrotnie i pokłońcie się!" Wszyscy klękają równocześnie jakby do taktu i pochylają głowy zwrócone twarzą ku podwyższeniu, na którem umieszczona jest tablica z imieniem cesarza. Potem odzywa się znów ten sam głos: „Powstańcie i ustąpcie!" Wtedy powstają dygnitarze i udają się w milczeniu do kaplicy, gdzie bywają czytane ustawy, i gdzie inne osoby cywilne i wojskowe stoją dokoła, ażeby usłyszeć „świętą uchwałę." Lee-sang każe rozpoczynać nabożeństwo, i wtedy mowca, zwany Sze-kiang-sang, przystępuje poważnym krokiem do ołtarza, przyklęka, bierze tablicę, na której napisany jest ustęp, który ma być czytany, i wstępuje z nią po kilku schodkach na małe podwyższenie. Tu bierze tablicę jakiś sędziwy starzec i przytwierdza ją wysoko, zwróconą pismem do słuchaczów. Potem nakazuje milczenie drewnianą kałatawką, a Sze-kiang-sang uklęka i zaczyna czytać. Po przeczytaniu woła Lee-sang głośno: „Objaśnij nam tę uchwałę!" i mowca rozpoczyna wtedy kazanie. — Rzeczony korespondent dodaje, że te „święte uchwały" mają w Chinach takie same znaczenie, jak w Anglii biblia, i że przeto wywierają one bardzo znaczny wpływ na sposób życia Chińczyków. Z uchwały, którą czytano, przytacza on następujący ustęp: „Ażeby uszczęśliwić lud, uniknąć wojny i tron umocnić, potrzeba przedewszystkiem starać się o to, by produkcya dorównywała potrzebie, gdyż w takim razie można uniknąć wszelkiej styczności z innemi narodami." Ten jeden przykład wyjaśnia dostatecznie, dlaczego wnętrze Chin pomimo wszelkich wojen i traktatów jest niedostępne dla cudzoziemców.

(Samobójstwa pomiędzy kobietami w Moskwie.) U płci pięknej w Moskwie jest teraz w modzie odbieranie sobie życia wystrzałem na sposób angielski. Przed dwoma miesięcami zastrzeliła się w jednym z hotelów petersburgskich 18tnia córka pewnego oficera. Znaleziono ją leżącą na sofie z rewolwerem w ręku; na stole leżała kartka z temi słowy: „5 minut na trzecią; naciągnę zaraz kurek i wszystko się skończy." Na podłodze koło stołu leżała kupa popiołu ze spalonego zeszytu. Z śledztwa okazało się, że ta młoda dziewczyna przybyła z matką i dwiema siostrami ze wsi do Petersburga na naukę. Uczyła się też dość pilnie, ale przytem leczyła się przez dłuższy czas na częsty ból głowy, co miało być skutkiem przeziębienia. Na prośbę krewnych przejrzano jej papiery, i znaleziono w nich jej kapitał, wynoszący 300,000 rubli w banknotach, tudzież list z pożegnaniem do matki, w którym powiada między innemi, że nie chce żyć tak, jak żyła dotąd, bo przekonała się, że źle żyła. — W taki sam sposób odebrała sobie życie inna wykształcona Moskiewka w Kijowie. Utraciwszy swoje stanowisko zastrzeliła się, włożywszy pistolet w usta. W pozostawionym liście wyraziła zdanie, że jeźli nie można żyć w roskoszach i zbytku, to lepiej nie żyć. Piękna zasada! — dodamy tylko, że ci, którzy jej hołdują, nie warci są istotnie nawet wystrzału prochu.

(Ciekawy zabytek starożytny.) W Medunie, wsi położonej w pobliżu Fajumu w Egipcie, wykopano niedawno bardzo ciekawy zabytek starożytny. Jestto grobowiec książęcy, długości 100, a szerokości 50 metrów, prawdopodobnie jeszcze z czasów przed panowaniem trzeciej dynastyi, a zatem o wiele starszy, niż wszystkie inne, odkryte dotąd grobowce. Znaleziono w nim dwie przepyszne statuy. Masiette Bej kazał je starannie zapakować i sprowadzić do Kairu, gdzie wystawione są w muzeum w Balaku na widok publiczny. U wnijścia do grobowca znajduje się 500letni napis arabski, w którym autor przeklina wszystkich tych, co mu radzili szukać skarbów w grobie.

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Stara piosenka.

I.

Idealna tak była,
Powiewna,
„Jako baśni zaklęta
Królewna.“
Miała męża, co tylko
Był z lica
Do lubego podobny
Księżyca.
Ona szarą lubiła
Godzinę,
On miał w wisku roskosze
Jedyne;
Przy Szuberta muzyce
Czasami,
Drzemał młynka robiący
Palcami;
I w złoconej bogatej
Swej sali
Godzinami vis-a-vis
Ziewali.

2.

Mizerniała i więdła
Jak kwiatek,
Nazywając dom rajem
Przed światem;
Pyszniła się, zwyczajem
Mężatek,
Swoich balów strojeniem
Bogatem.
Wzrok wznosiła cichaczem
Do szczytu,
Zanosiła się płaczem
W kąciku,
Umierała, powietrzniała,
Bez krzyku.
Była wierna, jako skała
Z granitu.

3.

Mówił do niej małżonek:
Tyś chora,
Trzeba wołać koniecznie
Doktora!

4.

Próżno. Leków nie chciała,
Uparta!
W noc, gdy w oknie siedziała
Oparta,
Próżno doktor młodziutki
Przez szepty
Słodkie dawał jej uchu
Recepty.
Nie siadała już potem
Przy oknie,
Życie rwało się u niej
Po włóknie,
Pukał doktor rozpacznie
W drzwi domu;
Nie kazała go wpuszczać
Nikomu.

5.

Wkrótce głucho stuknęły
W gwóźdź młotki,
Młoda pani zapadła
W sen słodki.
Już się rankiem, rumiana,
Nie zbudzi,
Świecić okiem, jak słonko,
Dla ludzi!..

6.

Szedł za trumną małżonek
Ponury,
Z twarzą długą, ach długa
Na łokieć,
Kiwał głową żałośnie,
Jak dzwoniec,
A wśród gości żałobnych
Złej chmury,
Stąpał doktor we fraku
Nie prędko,
Łzy lał grube za swoją
Pacyentką!
Diabeł ugryzł się w złości
W paznokieć —
Grób był w kwiatach o wiośnie
I... Koniec!

Wł. Ordon.

Rozmowa z pająkiem.

Poeta.

Architekto mój gorliwy,
Znów budujesz mi nad głową,
Skrzętnie snując nitkę płową,
Jakieś nowe swoje dziwy?

O! misternie i wspaniale
Zatoczyłeś krąg swych gmachów,
Niby pyszny pałac Szachów,
Albo kręte Eskuriale!

Lecz cóż z tego? wierz poecie:
Szkoda cię mój przyjacielu!
Bo twój gmach, nim dopniesz celu,
Lada pokojówka zmiecie!..

Pająk.

Wieszczu! niech cię bogi strzegą!
Lecz nie żałuj mię tak bardzo,
Że są, co mą pracą gardzą —
Twój ja dzielę los, kolego!

Bo jak mych misternych tkanin
Nie szanuje pokojówka,
Tak i twoje sztuczne słówka
Bierze na kieł — Szlegelianin!

Widać, że i muzy dadzą
Obsługiwać się lokajem —
Bieda bracie! że zostajem
Obaj pod liberyi władzą!

B. Komorowski.

Złośliwość stokroci!

„Pytałeś mię już nieraz
Maleńki ideale
O „tego“ i „owego“ —
Po listku rwąc niedbale.

„I dotąd zawsze, zawsze
Mówiłam: „Stale kocha...“
I w głos się śmiałaś zawsze
Dziewczynko płocha, płocha.

„Dziś znów o kogoś pytasz,
Lecz rozpłoniona wszystka,
I widać, że ci pilno
Wyroczni mego listka...

„Wiedz tedy: że ja, stokroć,
Właśnie gdy najboleśniej
W serduszku, na złość mówię:
„Jemu się nawet nie śni!“

B. Komorowski.

Żywot pana Kłopotnickiego.

Biedny pan Kłopotnicki
Nie wziął po swoim tatku
Majątku ani grosza,
Jeno kłopoty w spadku.

Kłopotał się nieborak
Odtąd przez całe życie,
Z kąd wziąć na mieszkanie,
Na wikt i na okrycie

Na koniec zmarł i duszę
Stroskaną oddał niebu,
A dzieciom swym zostawił
Kłopot — swego pogrzebu!

W kawiarni.

— Piotruś! jakże się masz kochany? Niech cię kaci, zrobiłeś partyą! Gratuluję.

— Dajże pokój, partya jeszcze nierozegrana; kto wie, jak wypadnie karambol. Przeciwnik diable gra!

— Ależ o innej partyi mówię: ożeniłeś się! posażnie!

— Ah, tak! Dziękuję. Świetny to był istotnie karambol! zdublowałem jedenkroć stotysięcy! Chacha!

— Jakże pani dobrodziejka...

— Na ucho ci powiem: wolałbym, żeby to była trypla lub kwarta. Partya byłaby więcej interesującą, rozumiesz?

— O, bez wątpienia!

Z pamiętnika mężatki.

Mężczyzna jest niepojętą istotą. Mój Juncio ciągle daje mi tego dowody. Wczoraj n. p. wieczór cały wbrew swojemu zwyczajowi przepędził w domu; zauważałam, że jest posępny i skwaszony. Jakaś cię przykrość spotkała — powiadam mu. Zdziwiony jest moją uwagą, ale zaręcza, że nic takiego nie zaszło, ile że nie oddalił się odemnie przez cały wieczór; nie był nawet w Kasynie. — Mężczyzna jest niepojętą istotą — powtarzam.



W cztery oczy.

Żona: Nie, tego już zanadto! Znowu przychodzisz tak poźno z piwiarni, a do tego pijany jak Bella. Tfu! wstydziłbyś się! Mój Boże, cóż to za męka dla wykształconej kobiety, mieć męża — takiego prostaka!

Mąż: E — co Jejmość plecisz? Mówisz, żeś wykształcona, a rozmawiasz po północy z pijanym gburem! Piękne mi wykształcenie!

Z Heinego.

Takież to chcesz pisać rzeczy?
Ach — tyś przepadł bracie drogi!
Jak chcesz zyskać grosz i wzięcie,
Musisz dobrze schować rogi.

Jabym nigdy ci nie radził,
Mówić tak w obec galeryi
O wielebnem duchowieństwie
I wysokiej magnateryi.

Tyś zginiony! Setki długich
Rąk ma polyp patrycyuszów,
Popi krocie długich żądeł,
A lud — parę długich uszów! —

Wydawca i odpowiedz. za redakcyą F. H. RICHTER

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.